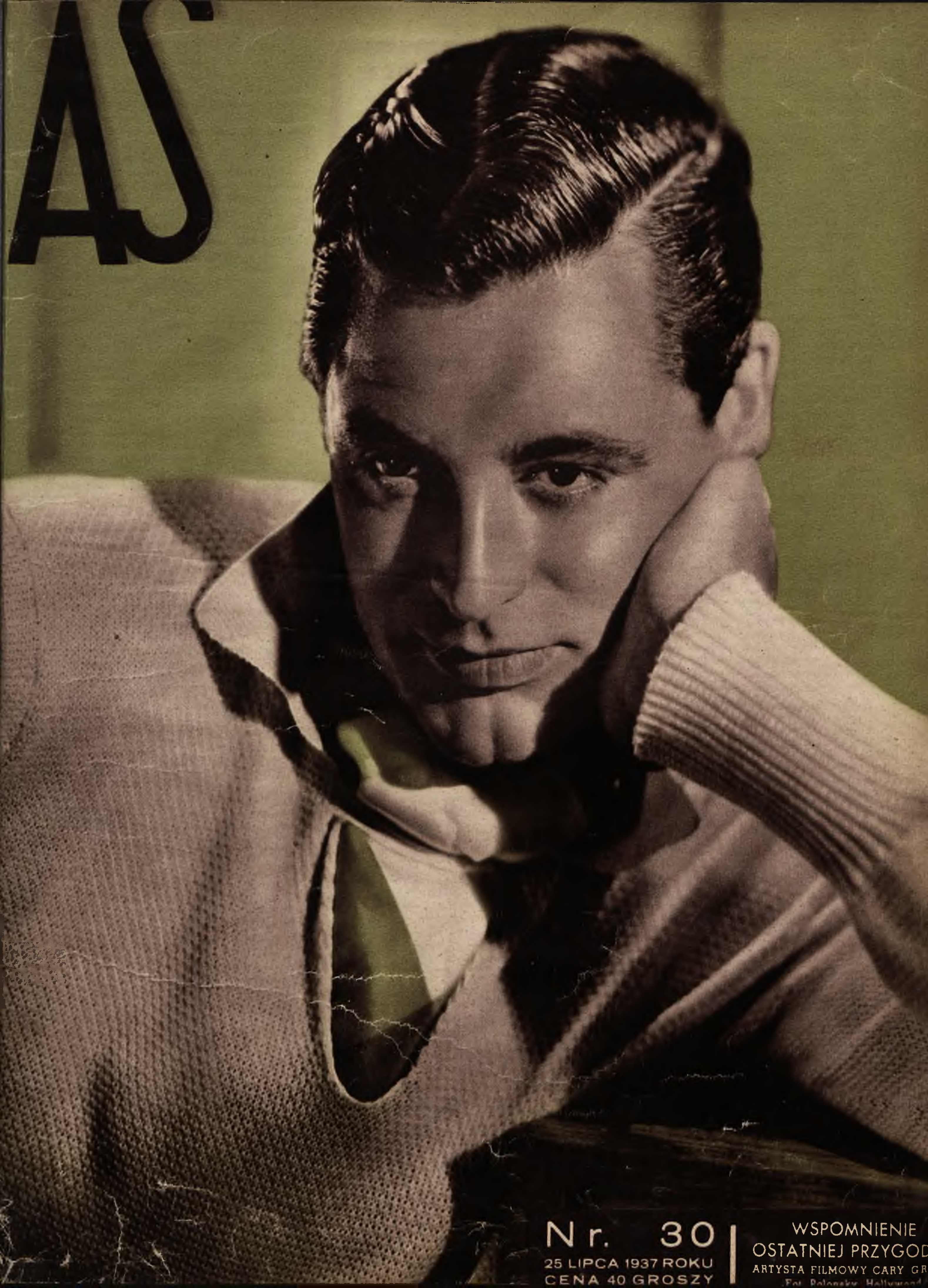

AS
Nr. 30
25 LIPCA 1937 ROKU
CENA 40 GROSZY
WSPOMNIENIE
OSTATNIEJ PRZYGOD
ARTYSTA FILMOWY CARY GR

ANTONI WYSOCKI

W CZTERY OCZY Z GABRJELĄ ZAPOLSKĄ

W rozsnuwaniu wspomnień wypadałoby na wstępie posłużyć się komunałem (używanym w uroczystościach jubileuszowych, a już, niemal obowiązkowym, w mowach pogrzebowych), że pisarz i po śmierci żyje w swych dziełach.

To się wie.

O ileż jednak bliżej jawi się z kart pamięci postać pisarza, nie obok dzieł już wydanych, ale w atmosferze, w której dzieła te powstały, w atmosferze domu i we wrzątku jego warsztatu literackiego!

Na pierwszy plan wspomnień o Zapolskiej wybijają się drobne, a jakże charakterystyczne zdarzenia, wynikłe z jej, na „domowy użytek", fantazji i humoru pełnego uroku.

Powieści jej są krańcowo realistyczne, a ona, autorka, ktoby uwierzył? lubiła jak dziecko bawić się lalkami.

Tak! — Lalkami.

Nadawała swym lalkom nazwiska, czarnemu pierrotowi i barokowej księżniczce. Szyła im bieliznę i ubrania, usadzała w najwygodniejszych miejscach mieszkania, obkładała owocami i cukrami. Zrobiło jej bajeczną przyjemność, gdy raz młody pewien poeta przyklęknął przed lalką-księżniczką.

Dziwnie było słuchać, jak swe spostrzeżenia o osobach znajomych w sposób wprost nieprawdopodobny mieszała ze spostrzeżeniami o osobach urojonych — świat rzeczywisty ze światem fantazji. Postacie jej powieści i komedji, szczególniej postacie kobiet, Kaśka Kariatyda, Żabusia, Tuśka, Małka Szwarcenkopf, Dulska, Panna Maliczewska żyły nietylko w jej literackiej wyobraźni, ale we wrażliwości toku dnia, w jej mieszkaniu.

Ktoś dzwoni do drzwi.

Pani Gabrjela mówi pół żartem, pół serjo:

— Może to Dulska... z pretensjami?

Mieszkań w niespokojnych kolejach losu miała wiele. Na wsi na Wołyniu, w rodzinnych Kiwercach, po zamążpójściu w Petersburgu, u początków karjery teatralnej w Warszawie i Poznaniu, następnie w Paryżu i Wenecji, po ponownem zamążpójściu w Krakowie, wreszcie we Lwowie.

Była bardzo piękna.

Znała tajemnicę wiecznej młodości.

Żadna fotografja, ani dwa portrety, malowane przez świetnych malarzy, Francuza Serisière'a i drugiego jej męża, Stanisława Janowskiego, nie mogą oddać migotliwej zmienności wyrazów jej twarzy i przejmujących błysków jej oczu żółtych, tygrysich. Długie czarne włosy, przemalowane na rude, podkreśliły oryginalność jej urody. Ubierała się modnie, z paryska, co w ówczesnych stosunkach Krakowa i Lwowa robiło wrażenie ekscentryczne. Zamiłowanie piękna przejawiało się w urządzeniu mieszkania.. Salon jej wyglądał jak minjaturowe muzeum.

Każdy sprzęt zwracał uwagę swem pięknem interesującem. Obrazy syntetystów francuskich, fascynujące egzotyzmem dalekich wysp. Białe mebelki ze zniewieściałej epoki rokoka. Prymitywna chłopska jadalnia bretońska, chińskie bronzy i cacka porcelanowe, wszystko, aż do szpinetu, na którym akompaniowała sobie do śpiewu sentymentalnych piosenek francuskich, było dla jej osoby tłem niezwykłem, czarującem.

W ogrodzie przy swej willi Skir na przedmieściu Lwowa postawiła altankę w stylu szwajcarskim, wedle typu altanek królowej Marji Antoniny. W altance posąg Buddy, kupiony na ulicy od wędrownego Japończyka. O kwiaty dbał ogrodnik Rusin, Hryćko, ubrany w przechodzone pstrokate... kimono! Na progu willi wylegiwał się pies Barry, rasy psów z góry świętego Bernarda.

Tło i życie Zapolskiej mieniło się i grało kolorami.

Pełna fantastycznej żywości miała w rozmowie i uśmiechu swawolność chochlika.

Ta żywość najwydatniej wyrażała się w tempie techniki pisarskiej.

Jej warsztat literacki, to pióro i garść białych kartek. Zanim tworzywo powieści czy sztuki teatralnej oblekło się w realny widomy kształt, nie robiła prób, szkiców, notatek. Żaden jej utwór nie miał bruljonów. Wszystko odrazu, bez jednego skrawka papieru, po przemyśleniu nieraz po roku, było gotowe. Dramat, można powiedzieć, wyskakiwał z jej wyobraźni, jak bogini Atena z głowy Jowisza, wyrazisty, skończony w formie.

Nie ustawała w poczynaniu spostrzeżeń, nawet w ciągu codziennego życia, gdy kiepsko bywało ze zdrowiem, zamkniętego, cieplarnianego.

Historję zawodów sercowych dwóch swych służących, kucharki i pokojowej, i pań zarządzających jej gospodarstwem domowem, sprawy lokatorów kamienicy, w której po opuszczeniu willi Skir mieszkała, lekarzy, stróża kamienicy, listonosza i gości, bezwiednie udramatyzowane, przejmowały całą jej istotę, jako fenomeny nadzwyczajne i wyjątkowe.

Silniej na jej wrażliwość działały przejawy szerszego społecznego świata.

Była myślą wszędzie.

Czy to w komedjach, „Żabusia", „Kobieta bez skazy", „Fin de sieklistka", w powieści „Sezonowa miłość", czy w kontrastach ghetta żydowskiego „Małka Szwarcenkopf" i „Jojne Firułkes", w typach Rosjan w obrazach dramatycznych „Tamten" i „Sybir", ukazywała dolę ludzką, po swojemu odczutą.

Nieprzebrana rozmaitość tła i figur.

Miasta, izby szkolne, wnętrza fabryk, pracownie artystów, biura urzędów, salony i sutereny, cukiernie i knajpy, widzi się w ruchu, w ostrych konturach i jaskrawych barwach.

O pierwszeństwo wystawienia tych sztuk rywalizowali dyrektorzy teatrów, wiedząc, że zapewniają pełną kasę. A zagranica? Bez jakichkolwiek starań, jak się to dziś mówi, propagandy, grano te sztuki w Austrji, w Czechach i w wielu teatrach w Rosji. „Małkę" wystawiały równocześnie trzy teatry, nawiasem mówiąc, grosza autorce nie płacąc.

W Polsce stanowiły żelazny repertuar wszystkich scen.

Każda premjera była wielkiem zdarzeniem dnia. Po premjerze feta dla reżysera, aktorów, aktorek i sympatyków, uczta ubarwiona szarfami wieńców i rozgadana toastami.

Lecz następnego dnia ogarniał panią Gabrjelę strach blady przed krytyką. Co napiszą? Co mówił Kornel Makuszyński? Najdrobniejszą ujemną wzmiankę odchorowywała i na głowę recenzenta sypała niewybredne epitety.

Jako aktorka była swym realizmem godną antytezą idealistycznych kreacyj Heleny Modrzejewskiej — zresztą bez jej genjuszu aktorskiego i triumfów.

W Krakowie prowadziła szkołę dramatyczną, bezpłatnie. Później z uczniów i uczenic założyła teatr, teatrzyk, „wolną scenę", u siebie w domu, w salonie, scenę z kulisami i kurtyną, najbezinteresowniej opłacając wszelkie koszty pieniądzmi zapracowanemi piórem.

W prowadzeniu tej pierwszej w Polsce sceny niezależnej był, jak to opisała w jednym z feljetonów, natchnieniem jej i wzorem paryski teatr Antoine'a. Założony z ubogich środków finansowych, miał szczytne dążenia kulturalne. Na próbach w tym teatrze, w małej salce przy rue Blanche, zczasem, gdy artyści ocenili entuzjazm Antoine'a, widywała Emila Zolę, Goncourt'a. Cotulle Mendès'a, Komila Lemonier, Masseneta i wiele innych znakomitości.

„Pomiędzy niemi Antoine prowadził swe dzieło z tą wielką siłą jakąś, oddziałującą hipnotycznie na tłumy. Wszyscy go słuchali, wszyscy mu ulegali, bo był to człowiek idei, nie handlarz swej wiedzy i miłości dla sztuki. Teatr prędko zyskał podstawę istnienia. I rozpoczęła się wędrówka tych, którzy się prawdziwie teatrem interesują. Cały Paryż defilował, nie Paryż snobów, pustych strojnych głów, lecz ten prawdziwy Paryż piękna, sztuki, nauki, wiedzy, rozumu i serca".

O takim teatrze marzyła Zapolska i gdy z Krakowa przeniosła się do Lwowa, rozpoczęła przygotowania. Zapraszała autorów i krytyków na narady, przerabiała role z utalentowanymi adeptami gry scenicznej, wynajęła salę. Ale, niestety, na rywalizację z szychem i sensacją repertuaru teatru miejscowego nie starczyło jej sił i zdrowia.

Teatr Zapolskiej trwał krótko. Pozostawił po sobie wspomnienie prawdziwej miłości dla sztuki i przykład do naśladowania. Także i pod tym względem, że byłby to, jak pragnęła, teatr naprawdę, z duszy — polski. W czasie pobytu zagranicą widziała, że teatry francuskie, niemieckie i włoskie, mają typ odrębny, własny, dzięki związkowi ze swą literaturą narodową. Teatry francuskie wystawiają wyłącznie sztuki autorów francuskich, a teatry niemieckie i włoskie przynajmniej w trzech czwartych sztuki swej literatury scenicznej. Dlatego aktorzy francuscy, niemieccy, włoscy, mają swoisty charakter gry, czego nie można się było dopatrzeć w aktorach polskich, mimo bujnego urodzaju talentów aktorskich. A wtedy, gdy Zapolska mieszkała we Lwowie, na repertuar Teatru Miejskiego, subwencjonowanego, składały się, dostarczone przez agencje i usłużnych tłumaczów, wraz z bałamutną reklamą, utwory obce, „nowości", przeważnie zresztą tandeta.

Martwiła się, ale walczyć z tem sama nie mogła.

Najmilej, w małym kółku znajomych, czuła się w domu.

Tęskniła do ciszy wiejskiej.

Na lato wyjeżdżała do Zakopanego, Krynicy, Morszyna lub do krewnych na Wołyń, na wieś. We Lwowie oczekiwały ją listy od wydawców, redakcyj pism i kierownictwa teatrów. Trzeba było odpisać, odrobić tę korespondencję, odpracować zamówienia, aby utrzymać dom na stopie, jak to lubiła urodzona wielka dama, zbytkowna.

Zamierzała przenieść się na wieś.

W książkach jej prawie że niema krajobrazów i nastrojów wsi, jednak tęsknota za wsią i poezją przyrody, nie schodziła jej z myśli.

Pewnego dnia wyraziły się te uczucia w drobnym, groteskowym epizodzie.

Powiedziała:

— Chciałabym mieć jakieś stworzenie, które przypominałoby swą obecnością wieś. Nie psa....

Psy były w domu.

— Konia?

— Koń nie zmieściłby się tutaj. Ptaka żal by mi było trzymać w klatce. Nie żabę, jaszczurkę, brzydzę się niemi. Coś innego, dzikiego, leśnego.

Dokończenie na str. 31.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 30 **Niedziela 25 lipca 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 30-GO:

Fot. Dr. A. M. Wieczorek — Zakopane.

Gdy zagranicą postępująca wciąż industrjalizacja wdziera się w najpiękniejsze zakątki kraju, zmuszając państwa do tworzenia „rezerwatów" natury, Polska jest w tem szczęśliwem położeniu, że posiada jeszcze wiele uroczych i kontrastowo odmiennych okolic, będących zarówno dla turysty, jak wogóle dla człowieka miłującego piękno niewyczerpaną krynicą wrażeń. Oto uroczy fragment doliny tatrzańskiej w słoneczne południe daje nam wyobrażenie o piękności jednego z największych klejnotów polskiego krajobrazu — Tatrach.

PAWILON POLSKI NA WYSTAWIE PARYSKIEJ



Powyżej: Widok na główny pawilon polski od strony ogrodu. — Na lewo poniżej: Fragment sali, w której znajdują się posągi polskich bohaterów i uczonych.

Koncepcja pawilonu wystawowego jest niezmiernie trudną. Wymaga prócz inwencji wielkiego doświadczenia i umiejętności przystosowania się do warunków terenowych. W projektowaniu pawilonów wystawowych najczęstsze są trzy architektoniczne podejścia: jedno imitujące monumentalne, regjonalne gmachy, budowane na wzór miast filmowych, drugie projektujące monumentalne, reprezentacyjne gmachy, budowane z stiuku na okres 6-miesięczny, trzeci polega na odrzuceniu elemetów reprezentacyjno-monumentalnych, a tworzeniu kompozycyj przestrzennych, łączących fantazję, wdzięk, oryginalność i dekoracyjność.

Projektodawca polskiego pawilonu, architekt Pniewski, połączył w swym tworze dwa elementy — monumentalność i lekkość nowej formy z przewagą naturalnej dekoracyjności.

„Gospodarstwo polskie", jak nazywają Francuzi zespół pawilonów polskich, znajduje się w cieniu niemieckiego drapacza chmur i starych platanów na Placu Warszawskim, leżącym na prawej stronie Sekwany pomiędzy pałacem Trocadero a wieżą Eiffla, tj. w punkcie najbardziej centralnym wystawy.

Opisując dział polski, Francuzi twierdzą, iż jest on szeregiem miłych niespodzianek, a dziennik „L'Intransigeant" pisze:

„iż architekci polscy, pp. Pniewski i Brukalski stworzyli w kąciku paryskiego ogrodu w sposób prawdziwie czarodziejski małą Polskę, pełną wdzięku i charakteru, która sugestywną mocą zmusza do poznania i pokochania Polski — wielkiej".

Projektodawcy nadali jedynie kamiennej wieży akcenty

monumentalno-reprezentacyjne. Siedem posągów bohaterów i genjuszy polskich wypełnia to mauzoleum, pokryte — niby velarium — olbrzymim kilimem, podtrzymywanym przez dwie kopje husarskie. Przez mostek dostajemy się na wirydażyk, obwiedziony ceglanym murem, przerwanym ozdobną kratą, zaprojektowaną przez prof. Bartłomiejczyka w sposób wysoce artystyczny. Architektura dziedzińczyka skomponowaną jest estetycznie w sposób wysoce harmonizujący z zielenią.

Leżąca postać kobiety, dłuta Augusta Zamoyskiego, strzeże wejścia do polskiego pawilonu. Oblana gorącem światłem francuskiego słońca w dzień, wieczorem światłem umiejętnie rozłożonych reflektorów. Wokół dziedzińczyka rozmieszczono, stosownie do programu wystawy, pokoje mieszkalne ludzi średnio zamożnych. Znajduje się tam salonik, projektowany przez architekta Hryniewicza i Listowskiego z meblami o linjach funkcjonalnych, pokrytymi jasną, miękką wełnianą tkaniną. Wnętrze posiada charakter wytwornej prostoty.

Pokój, projektowany przez arch. J. Brukalską, zdobią fotele, pokryte niedźwiedzią skórą. Widok na minjaturowy japoński



Poniżej: Kącik sypialnego pokoju w domku week-endowym. — Na prawo: Fragment wnętrza.







Poniżej na lewo: Widok na atrium w polskim pawilonie na wystawie światowej.

Powyżej: Fragment saloniku.
Zdjęcia: „STUDIO PAN" – Paryż.

ogródek, skomponowany z karłowatych drzewek, łączy się harmonijnie z tem wnętrzem. Pokój week-endowy arch. Bogusławskiego skomponowany jest pomysłowo w duchu szlachetnego prymitywu.

Projektodawcy wnętrz wyszli z założenia sztuki współczesnej epoki, pomijając wszelkie regjonalne pierwiastki. Stąd też „gospodarstwo polskie" przemawia, zwłaszcza do Francuzów, zrozumiałym językiem piękna i wzbudza ich zainteresowanie.

Komisarz wystawy prof. Niemojewski w ostatniej niemal chwili wziął na swe barki organizację artystycznego uposażenia pawilonów. Stąd pewne niedociągnięcia, które odbiły się echem w naszej prasie, lecz jak widzimy z fragmentów pawilonu, odznacza się on poważnemi walorami.

mdd.

Architekci doskonali



W kole: Rodzina bocianów na gnieździe.



Na prawo: Dzięcioł pracowicie wypukuje dziuplę, w której zamieszka jego rodzina.

Pamiętacie zapewne tę wspaniałą bajkę Andersena o słowiku? Cesarz chiński zawezwał dwunastu najmędrszych mandarynów przed swoją córkę, skarbiec przeogromny temu z nich ofiarując, którýby potrafił słowicze gniazdo uwić.

Ale wśród mędrców krainy Smoka nie było żadnego, ktoby umiał wykonać ten majstersztyk i zasmucony cesarz chiński pozostał w pałacu sam, niepocieszony wielką niedosłonałością człowieczego umysłu, ze smutkiem zajadając zupę z jaskółczych gniazd.

A czyście zauważyli kiedy najwspanialsze ornamenty dekoracyjne Ho-Ku-Saja? Na gałązkach papyrusów wiją tam gniazda kolibry, a w gęstwinie mimozy gnieżdżą się purpurowe japońskie remizy.

Świat Wschodu, stara jego kultura i sztuka rozkochała się w najkunsztowniejszej rzeczy świata — ptasiem gniazdku.

Zaniedbaną, o jakże bardzo zaniedbaną pod tym względem jest pysząca się cywilizacją i kulturą Europa! Może jeszcze niektóre narody zainteresować się potrafiły otaczającymi ją czarami świata ptaszęcego. Niemcy, operując olbrzymim inwentarzem naukowym w kilkunastu stacjach ornitologicznych najlepsze swe siły naukowe poświęciły badaniu świata ptasiego, wielki akademik francuski Périer daje wiedzy wspaniałe sześć tomów swej ornitologji, naszą reputację ornitologiczną ratuje wielki Taczanowski, Tyzenhauz, a wreszcie ostatnimi czasy wybitna siła naukowa w osobie doktora J. B. Sokołowskiego.

Już to zwykliśmy się zachwycać wirażami lotów ptasich. Ptak — gniazdo jego i obyczaje stały się tematem przysłów i powiedzonek narodowych, ale w gruncie rzeczy o życiu ptaków, a zwłaszcza o najciekawszym życia ich okresie, godach wicia gniazd i składania jajek, tak bardzo mało wiemy.

A formy biologiczne są tak przeróżne, że trzeba było wielu lat pracy i tomów ksiąg, by móc pobieżnie choć wypowiedzieć się w tej sprawie, więc w ramach małego feljetonu mówmy tylko o najciekawszych zjawiskach.

Bogatą jest fauna ptasia polskiej ziemi. Od krzyżodzioba gnieżdżącego się w iglastych lasach Północy, aż po ciekawą wronę brunatnie nakrapianą, podobną w ubarwieniu do jarząbka, o długim, wąskim dzióbie, wronę strefy gór południowych — orzechówkę. Czasami zalatują do nas sępy, mieszkańcy stepów afrykańskich, a świat drobiazgu leśnego jakże jest bogaty. Może najciekawsze w sposobie wicia gniazd i rozmnażania się są zimorodki. Gniazda zakładają na podobieństwo zwierząt norowych w ziemi, do samego gniazda, w którem samiczka składa jaja, prowadzi wąski tunel-korytarz. Jajeczek jest cztery do sześciu, dno gniazda wyłożone jest mchem i puchem, żeby się maleństwa nie przeziębiły. Wysiadywanie jaj, które trwa zazwyczaj do dni czternastu, w monotonji swojej nie byłoby ciekawe, gdyby pewnego dnia równocześnie omal że nie wykłuły się pisklęta. A kłopot jest z nimi niemały. Żarłoczne to i w ziemi głęboko pochowane, gdzie ciemno jest i rozróżnić nie można drobiazgu. Ale matka natura z pomocą przyszła podziemnemu zimorodkowi. Pisklęta zimorodka obdarzone są od natury bardzo ciekawym organem, zanikającym zresztą zczasem, jak gdyby aparatem świetlnym, umieszczonym na krawędzi dzióbka w partji podniebienia. Z chwilą otwarcia pyszczka przez ptaszka, fosforyzujący organ daje znać spektralnie matce, że tu właśnie znajduje się niesyte gardziołko jej pupila i tu właśnie w okolicy świetlanego punkcika należy składać gąsienicę, czy muszkę. Że jednak drobiazgu jest zawsze więcej niż jedna sztuka, matka mogłaby przekarmiać jedno na niekorzyść innych piskląt, coby skazało je na śmierć głodową, ale i na to jest sposób. Jak powiedzieliśmy gniazdo zimorodka, zbudowane jest w ten sposób, że na powierzchni ziemi prowadzi od właściwego gniazda długi tunel, a samo gniazdeczko jest małą okrągłą wnęką. Małe więc ustawiają się szeregiem i po kolejnem nakarmieniu jednego pyszczka, który ukazuje się w tunelu, szereg posuwa się dalej, tak, że następna porcja karmy trafia już do dziobka innego z dzieciaków. Przypomina to, jak gdyby systematyczny ruch automatu i pozwala zimorodkowi na regularne wykarmianie wszystkich dzieci.

Jak gdyby wyprzedzając pomysły wszystkich sztabów generalnych, o barwach ochronnych i przepisowem maskowaniu, buduje swoje gniazdo najbardziej popularny ptak naszych ogrodów — zięba. Pójdźmy w sad kwitnący jabłoni i wsłuchajmy się w zadzierżystą pieśń samczyka — zięby. Będzie on zawsze opodal gniazdeczka przesiadywał na straży, głosem swym buńczucznym odpędzając pobratymców. Oto i on, pięknie prążkowany ptak z białemi strzałkami na lotkach, ale gdzież gniazdeczko? Niema go ni na tej, ni na drugiej jabłoni. A jednak jest przymocowane do nasady konaru, do pnia, maleńka zresztą stonowana grudka ziemi, wyglądająca tak, jak gdyby niewielki odstęp kory dla lepszego jeszcze zamaskowania pokryty dokładnie zdzieraną korą jabłoni, która stanowi dla gniazdeczka taki sam pancerz, jak dla czołgów malowane pstrokate tarcze.

Największym może tkaczem i kunstmistrzem w budowie gniazd ptasich naszej strefy jest nikt inny, jak rdzawy na grzbiecie... remiz. Bidulka ten, którego działwa jest niesłychanie nieodporna na zimno, buduje swoje gniazda z puchowiny, otaczającej nasiona wierzby. Jest to substancja, która w tkaninie misternej ptaka przypomina sobą wałeczek waty w kształcie woreczka czy pantofelka, z niewielkim otworem wejściowym, prowadzącym do mięciutkiego i bardzo ciepłego gniazdeczka, dla bezpieczeństwa zaś i jak gdyby dla paradoksu całe gniazdeczko remiza, utkane z tak subtelnej materji zawiesza ptak na elastycznej cienkiej gałązce wierzby, która wraz z gniazdeczkiem przy każdym podmuchu wiatru kolebie swoim żywym wisiorem jak gdyby kołyską.

Daleko bardziej solidne i bardziej ochronne gniazda wykuwają dzięcioły. Dzięcioł w przeciwieństwie do szpaka czy sowy nie kontentuje się odnalezioną, gotową już dziuplą w próchnicy drzewa i wraz z swoją samiczką wykuwa gniazda sam. Ciężka to i żmudna praca. Nie mając innych instrumentów, prócz własnego dzioba, para dzięciołów musi wyżłobić w żywym i zdrowym pniu sosny głęboki otwór w postaci głębokiego leja, w który następnie samiczka składa jajka. Jest to zwykle gniazdo zgruba tylko opracowane twardą raszplą dzioba pełne wiórów i drzazg, które „nota bene" rodzice, dbali o spartańskie wychowanie swych małych, nie wyścielają zupełnie.

Gdy mowa o jajach i gniazdach ptaków naszej strefy dla porównania wartoby pomówić o doli gniazdowej ptaków innych stref. W najtrudniejszych warunkach rozmnażają się i wychowują bezlotki-pingwiny. Ptak Antarktydy, któremu pływacko-lodowa dola zamieniła skrzydła na łuską pokryte ramiona, żyjący u stóp barjery Rossa, nie może marzyć o wiciu gniazda, bo nie znalazłby na nie budowlanego materjału. Na brzusznej partji jego ciała powstaje bowiem w okresie dojrzałości ciepła łojowa fałda, podobna do kieszeni czy torby, w którą samiczka bezlotka składa bezpośrednio po zniesieniu jedno jedyne jajko. Jajko to jak gdyby w torbie podróżnej, ogrzewane krwią organizmu matki, dojrzewa przez długie sześć miesięcy, a matka przez cały czas dojrzewania płodu z małemi tylko przerwami stoi na swych łapkach, oczekując wykłucia się małego. Że jednak przez ten czas sama musi ruszać się i jeść, chcąc udać się do wody, oddaje jajo swoje na chwilowe... „przechowanie" którejś z „sąsiadek", która z wielkim pietyzmem przechowuje depozyt. Mąż jej, wracając z połowu rybiego, nigdy nie zapomina o wysiadującej samiczce i w dziobie przynosi jej małe ryby, któremi ją karmi.

Niektóre ptaki zamieszkałe w strefie podzwrotnikowej nie wysiadują jaj zupełnie.

Dokończenie na str. 31.



Czajka na straży gniazdka.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Najpiękniejszą z serji znaczków austrjackich jest niewątpliwie najwyższa wartość za 64 grosze (zielona). Tło stanowi panorama Wiednia o zachodzie słońca.

Co pewien czas ministerstwo poczt w USA (Post Office Departament) przesyła pełny wykaz znaczków, jakie można zamawiać po ce-



Najnowsze znaczki Czechosłowacji (u góry), — u dołu od lewej: Stanów Zjednoczonych i Austrji (wydany z okazji stulecia komunikacji parowcowej na Dunaju).

nach nominalnych. Niestety wobec przepisów dewizowych wyższe wartości są dla nas niedostępne i możemy zreprodukować tylko jeden niestemplowany egzemplarz z nowej serji lotniczej. Składa się ona obecnie z 4 sztuk: 16 c. niebieska/czerwona, 20 c. zielona, 25 c. niebieska i 50 c. karminowa.

Napis „transpacific air mail" nie dowodzi, iż znaczek ten przeznaczony jest wyłącznie dla listów, przesyłanych z Ameryki do Azji, a także nie jest on wydaniem typowo okolicznościowem. Pod względem wykonania można się o całej serji wyrażać tylko w superlatywach, a także rysunek jest w całej pełni artystyczny. Dziwne, iż mimo wprowadzenia już stałej komunikacji transatlantyckiej nie uczczono tak pamiętnej chwili jubileuszowej znaczkami.

Poniżej dajemy krótki wykaz wszystkich nowości europejskich: Bułgarja (3 czerwca): serja wydana w 1000-lecie cyrylicy: 1, 2, 4, 7, 14 lewa z wizerunkami św. Cyryla i Metodego. Danja: Wydanie jubileuszowe (25-lecie panowania króla Chrystjana X) obejmuje 4 sztuki: 5, 10, 15 i 30 öre (5 i 15 format poziomy). Niemcy: blok Hitlera z nadrukiem 25 Rpf. na cele kulturalne sprzedawany jest także w „ćwiartkach", t. zn., że można zadowolić się tylko jednym znaczkiem. Finlandja: Podobizna marszałka Mannersheima, 2 M. kolor ultramaryna, format pionowy. Gibraltar i Malta: Serje „koronacyjne" obejmują po trzy sztuki o tym samym rysunku z różnicą naturalnie tylko w napisie i wartościach. Gibraltar: 1/2, 2 i 3 pensy. Malta 1/2, 1½, 2½ d. Ci uczestnicy wycieczki IKC, którzy na Malcie zakupią większy zapas tego wydania, napewno zrobią dobry interes!

W. H.



Deptak i fragment parku w Rymanowie-Zdroju.

Z DZIEJÓW RYMANOWA-ZDROJU

W ogromnej ongiś puszczy karpackiej, u wstępu do doliny rzeki Taby, na szczycie góry zwanej dziś „zamkową", wznosił się zamek broniący wstępu tatarskim zagonom do sąsiednich Węgier. Dziś tylko zarysy wałów, murów i piwnic świadczą o jego istnieniu. Trzy kilometry na północ, widnieje miasteczko Rymanów z pięknym kościołem, odbudowanym po pożarze miasta w XVIII w. przez ówczesnego właściciela Rymanowa wojewodę Ossolińskiego. Jak tradycja mówi — kościół ten zbudowany został z resztek murów zamku rymanowskiego. Jego dwumetrowej grubości mury kryją wiele przepięknych pamiątek, a najważniejszą z nich jest cudowny obraz Matki Boskiej Bolesnej, wykuty ze srebra i złota przez płatnerzy krakowskich.

Pamiętna jest historja tego obrazu. Oto król Jagiełło podążał z orszakiem rycerstwa z Krakowa do zamku w Sanoku na swój ślub. Przejeżdżając przez miasteczko Rymanów (biorące nazwę od cechu rymarzy) król musiał się zatrzymać, gdyż spłoszone konie zaczęły ponosić i rwać uprząż. Król kazał tedy przywołać rymarzy, a że to było uroczyste święto Matki Boskiej Gromnicznej, przeto za dyspensą prymasa jadącego z królem — rymanowscy szewcy i rymarze dokonali naprawy. W nagrodę król udzielił miastu funduszów na oświetlenie kościoła i wkrótce nadesłał w darze przepiękny obraz wykuty ze srebra i złota.

Dzisiejsze zdrojowisko, położone u stóp góry zamkowej, w odległości trzech kilometrów od miasteczka, zostało wybudowane przez Stanisława hr. Potockiego i jego żonę Annę z Działyńskich. Odkrycia źródeł dokonał w r. 1867, Stanisław hr. Potocki wraz ze swym synem Janem, obecnym właścicielem zdroju. Jadąc do lasu doliną napotkali bydło pijące wodę w jednem tylko miejscu rzeki. Zaciekawieni skosztowali wody z bijącego w korycie rzeki źródła, które jak się później okazało — było jednem ze znanych dzisiaj źródeł jodowych.

Od tego też czasu rozpoczęto badania naukowe nad wodami i zbudowano pierwsze łazienki i wille. Ogromną, półwiekową przeszło pracę nad przesunięciem koryta rzeki, ochroną od zalewu i budową zdrojowiska — dokonali ś. p. Anna hr. Potocka i obecny właściciel Jan hr. Potocki. Poszczycić się mogą takiemi dziełami, jak fundacja pierwszej krajowej kolonji leczniczej dla dzieci, dla której oddali ogromną, najpiękniejszą parcelę w zdrojowisku.



Wille rymanowskie mieszczą się w otoczeniu parku i lasów, co zapewnia im doskonałe warunki klimatyczne.

W roku 1914 Rymanów — jak zwykle gościnny i będący wzorem dla każdej akcji patrjotycznej — gościł legjony wschodnie, a mieszkanie właściciela zamieniono na kwaterę sztabu gen. Hallera. Odwetem wojsk rosyjskich za gościnę udzieloną legjonom było doszczętne zniszczenie i częściowe spalenie zdrojowiska, które szereg lat po wojnie światowej nie było w stanie podźwignąć się z zupełnej ruiny. Dziś, dzięki niespożytej energji właściciela — Rymanów znów kwitnie, posiadając nowoczesne urządzenia lecznicze, pomieszczenie na trzy tysiące osób, komfort i nowoczesną komunikację. Zdrój ma poza tem jeszcze dwie zalety, a mianowicie: zachowane piękno pierwotnej przyrody i — co najważniejsze — przestrzeganą tradycję staropolskiej gościnności, ducha obywatelskiego i patrjotycznego.



ARTYŚCI NA CENZUROWANEM

Z OFJA NAKONECZNA

Wtrosce o urozmaicenie letniego sezonu, wystawił Teatr Polski w Warszawie, miłą i pogodną komedję Caillavet'a i de Flers'a „Papa". Sztuka odniosła rzeczywiście pełny triumf, zawdzięczając to w pierwszym rzędzie wykonawcy roli tytułowej Junoszy Stępowskiemu, oraz uroczej, wielce utalentowanej artystce Zofji Nakonecznej, kreującej główną postać kobiecą w tej sztuce. Młoda artystka wnosi na scenę tyle wdzięku, prostoty i szczerych akcentów, jest tak czarującą w swej młodzieńczej krasie, że jej Teresa staje się ośrodkiem zainteresowań, nie tylko bohatera komedji, wytrawnego konesera urody kobiecej, ale i szerokiej publiczności, nie szczędzącej wykonawczyni tej roli gorących oklasków.

W antrakcie pukam do drzwi garderoby p. Zofji Nakonecznej.

— Wywiad? — wita mnie artystka, o-mal że nie z przerażeniem w swych pięknych, szarych oczach, widząc w mych rękach nieodzowny notes dziennikarski. — Strasznie się boję wszelkich wywiadów!

— Nic podobnego — uspokajam p. Zofję. — Zapraszam panią jedynie na „cenzurowanego" w Asie

— Och, to jeszcze gorzej! — odpowiada artystka. — W wywiadzie dałabym pani carte blanche. Wzorem amerykańskich koleżanek filmowych, pozwoliłabym o sobie opowiadać niestworzone rzeczy! Np., że codziennie rano o świcie jeżdżę do naszego Zoo i karmię własnoręcznie dwa rozkoszne hipopotamy, Maksia i Boba, które są we mnie śmiertelnie zakochane, albo, że dla utrzymania linji, chodzę stale po domu w pozycji „do góry nogami", lub że się wybieram w pocisku armatnim z ekspedycją filmową na księżyc! A na „cenzurowanem" głos ma właściwie opinja publiczna i sroga prasa.

— Uprzedzając ją, niech pani opowie coś ciekawego o swojej karjerze artystycznej, przeżyciach teatralnych, wrażeniach ze sceny...

Pani Zofja robi zafrasowaną minkę.

— Ciekawego? To będzie naprawdę bardzo trudne. Nic takiego nie mogę sobie przypomnieć. Cała moja karjera artystyczna, od pierwszych kroków na scenie, postępuje po gładkiej i równej, jak gdyby przez łaskawe losy pięknie wyasfaltowanej, drodze.

Pani Zofja puka przezornie w blat toalety, zastawionej przyborami do charakteryzacji, wśród których szuka odpowiedniego pudru.

— Jestem Krakowianką — mówi w dalszym ciągu artystka, pudrując sobie z wdziękiem nosek. — Po ukończeniu w mem rodzinnem mieście szkoły dramatycznej, przyjechałam z wielką tremą na egzamin do Warszawy. Nie zdołałam jeszcze ochłonąć ze wzruszenia po szczęśliwym wyniku, jak już otrzymałam dwie propozycje engagements do Warszawy. Gdy wreszcie przyszłam do siebie po egzaminowych emocjach, wybrałam naturalnie tę lepszą ofertę, dyrektora Krzywoszewskiego do Teatru Narodowego. I tak zaczęła się moja praca, która w teatrach warszawskich trwa już piąty rok. Pierwszą rolę, którą w Warszawie grałam, była Marjanna w „Skąpcu" z Ludwikiem Solskim. Potem w każdym sezonie powiększałam szczęśliwie mój repertuar jakąś dobrą rolą, jak np. w „Cudziku i Spce", w „Ludziach w bieli", „Tessie", „Był sobie więzień" no i obecnie moją Teresą w „Papie".



Na lewo: Scena z „Papy" de Flersa z Zofją Nakoneczną i Junoszą-Stępowskim.

— Jest pani zatem poprostu dzieckiem szczęścia.

— O przepraszam! Mam z mej dotychczasowej karjery scenicznej jedno bolesne wspomnienie — przerywa p. Zofja z uśmiechem, rozjaśniającym na przekór słowom jej piękne oczy i ukazującym w całej pełni dwa rzędy olśniewających białością zębów.

— A więc przecież... — uzbrajam się pospiesznie w wieczne pióro.

— O tak! Było to podczas przedstawień „Cudzika" w Teatrze Małym — rozpoczyna artystka, przechodząc zkolei do przyprowadzenia do porządku zwichrzonej nieco czuprynki popielatych loków. Spiesząc do teatru, potknęłam się, nadwyrężając przytem silnie ścięgno w nodze. Mimo ogromnego bólu, nie chcąc dopuścić do zerwania przedstawienia, postanowiłam grać. Zaniesiono mnie do garderoby, doktór zrobił zastrzyk i zabandażował nogę. I tak było przez dwa tygodnie. Codziennie wnoszono mnie na drugie piętro do teatru, a potem jeszcze do-

Dokończenie na str. 20-tej

NOWI ZNAJOMI

JANUSZ MARJA BRZESKI

NOWELA

— Ten pan w szarym płaszczu — pyta czy może usiąść przy stole pani — rzekł śliskim głosem kelner.

Ona drgnęła, jakby obudziła się ze snu. Spojrzała na bladą tłustość kelnera. Potem przeniosła wzrok w kierunku szarego płaszcza. Tkwił w nim młodzieniec o obojętnej twarzy. Rozglądał się po stolikach z miną nowicjusza, ale odważnie. Był dobrze ubrany. Ona odrazu to zauważyła. A raczej wyczuła przelotnem spojrzeniem.

— Proszę, niech ten pan usiądzie — powiedziała swym mieniącym się głosem, w którym łamały się miękkie tony o dwu skalach, wśród zapachu pasty do zębów i „Paris Scandal".

Kelner odszedł od stołu. Wtedy dopiero dziewczyna poczęła analizować powody swej szybkiej zgody. Przecież przyszła tu, aby być samą wśród zamętu nie obchodzących ją rozmów. Chciała być otoczoną ludźmi, i nie wiedzieć kim oni są. Pragnęła dusznej atmosfery kawiarni, bez żadnych zbliżeń. Zapachu bez smaku. Posmaków raczej.

— Dziękuję pani za miejsce — powiedział właściciel szarego płaszcza, poczem usiadł.

Ona skinęła głową. Odsunęła swe krzesełko, na którem leżała torebka, ta mała przyjaciółka wszystkich kobiet, która kryje w swem wnętrzu tajemnicę kobiecości, jej powodzenia i triumfów.

— Może pani nie jest zadowolona, że usiadłem tutaj. Mogę wstać i pójść sobie gdzieindziej... Młodzieniec spoglądał wyczekująco na dziewczynę.

— Nie... mnie pan nie przeszkadza.

— A wolałbym doprowadzać panią do pasji, irytować, obrażać nawet — swoją obecnością...

Dziewczyna spojrzała na niego zdumiona.

— Bo wtedy nie byłbym kimś obojętnym dla pani...

Coś, jakby słaby blask uśmiechu rozjaśniło jej twarz. Wkrótce jednak oczy spochmurniały. Wzięła do rąk gazetę.

— Czem mogę służyć... — kelner stał obok stołu.

— Proszę białą z pianką.

— Może ciastka do kawy?

— Proszę...

Chłopiec zdjął płaszcz i oddał go garderobianemu. Gdy siadał — ona poczuła słaby zapach jego wody toaletowej, który przez chwilę zaciekawił ją. Każdy zresztą zapach — jak melodja zmusza do przypomnień. W tej sile tkwi jego magja. Ale dziewczyna nie odnalazła porównań. Zabrała się znowu do czytania.

Czuła zmęczenie przy każdym ruchu, męczyło ją mówienie, bolały ją nawet myśli. W sobotę zawsze tak było. Kiedy organizm nie musiał już walczyć, kiedy zabrakło podnieceń — cało tygodniowe wyczerpanie opadało mózg i mięśnie, jak jarzmo podwójnie ciężkie.

Kącikiem oczu spojrzała dziewczyna na mężczyznę. Zobaczyła, że zgrabnie wsypał cukier do szklanki, i że umie ładnie obchodzić się z łyżeczką. Zbadała wzrokiem ręce przybysza. Nie były ładne, zato starannie utrzymane. Z rąk przeniosła wzrok na krawat i ubranie. Były w dobrym guście i gatunku. Tak się jej przynajmniej wydawało. Odruchowo podjęła torebkę. Przejrzała się w lusterku. Trochę pudru, trochę szminki i lustro zalśniło zachwytem.

Nieznajomy wlepił wzrok w dziewczynę.

— Pani nie potrzebuje tego wszystkiego. Pani ma rzecz najważniejszą — młodość...

Uśmiechnęła się. Usta pozostały rozchylone. Zwróciła głowę w jego stronę.

— Czy jeszcze przed przybyciem do mego stolika — powstał ten projekt łatwych zachwytów?

— Nie... dopiero wtedy, kiedy pani mnie zmusiła do patrzenia na siebie, przeprowadzając tę operację pudrową — odpowiedział śmiało, bez cienia skrępowania.

Podobał jej się ten sposób mówienia. Tak mógł odzywać się tylko ktoś, dla kogo rozmowa nie była ciężarem trudnych słów, lub konwenansem komplikującym mozolnie przepędzane niedziele. Dziewczyna odczuła zainteresowanie dla przybysza.

— Czy pani często przychodzi do tej kawiarni?...

Kobietka odłożyła gazetę. Pomyślała: O nie! Te sobotnie południa wydarte pracowitym tygodniom — były jej jedynym sukcesem w utęsknionej drodze wzwyż. Czasem było kino. Zresztą właśnie ono pokazało jej ten świat, do którego szukała drogi poprzez kawiarnię. Pamiętała, że często, wychodząc z filmu na ulicę — lekko drżała w oczekiwaniu spotkania z „nim". Nawet próbowała nieraz zastanowić się, coby zrobiła, gdyby ją ktoś taki „wymarzony" zaczepił...

— O nie!... Ożywiła się. To znaczy do tej kawiarni nie tak często zaglądam — wykręciła się niezgrabnie.

— Tak trudno jest znaleźć kogoś naprawdę sympatycznego — mówił chłopiec. Człowiek nudzi się, żyje z dnia na dzień myślą, że coś się zdarzy... A tymczasem rodzinka, wizyty, strasznie nudne ciotki ze wsi i to wszystko.

— Jakto ze wsi — zdziwiła się dziewczyna.

— A prawda... przecież my wcale się nie znamy. Ale to zasługa pani, że zapomniałem o tem. Pani doprawdy jest nadzwyczajna...

— Et... cóż nadzwyczajnego... W tej chwili chciała powiedzieć mu całą prawdę o sobie: że jest ekspedjentką w pralni, że zarabia grosze, któremi dzieli się z rodzicami, że tylko sztuką właściwą młodym dziewczętom umie włożyć tanie szmatki, które na niej dobrze wyglądają i że czasem pomimo zapewnień lustra przestaje wierzyć w siebie — ogarnięta wyziewami pralni i chlorku.

Ale nie powiedziała nic. Zarumieniła się tylko, jakby popełniła kłamstwo.

On odsunął tacę z pustemi szklankami i oparł się o stół.

— Mam do pani prośbę!.... przecież to głupio żeby tak siedzieć, nie wiedząc nawet imienia człowieka, z którym się rozmawia. Zakładam się, że pani ma na imię Ewa, Inga, lub coś w tym rodzaju...

— Nie zgadł pan — roześmiała się dziewczyna. Niech mnie pan nazywa Reną. To zdrobniałe od Irena...

— Jan Kierski — chłopiec skłonił się z uśmiechem. Teraz przynajmniej można będzie jednem słowem przypomnieć sobie dzisiejszy miły wieczór.

Irenę ogarnęło miłe ciepło. Zagłębiła się w foteliku i splotła ręce. Wyczekiwała dalszego ciągu jego gładkich słów.

— Otóż wspomniałem o ciotkach. Nie wiem kim pani jest, ale tem łatwiej przyjdzie mi opowiedzieć o tych potworach... Ciotki (mam ich dwie) mieszkają stale w swym majątku i czasem przyjeżdżają do nas. Wtedy następuje koniec świata. Uciekam przed ich wizytami, bo to wciąż to samo: Janku nie wypada, jak ty żyjesz, coby powiedział na to twój dziadek, poczciwy stary hrabia ze Złotej!...

Kierski wydął pogardliwie wargi i strzepnął od niechcenia popiół z papierosa.

Irenie tymczasem zatrzepotało serce. Więc on jest arystokratą. Człowiekiem z wielkiego świata. Ze świata oglądanego czasem w kinie. Jednak filmy nie kłamią, opowiadając o biednych dziewczętach i młodych miljonerach. Boże!

Dziewczyna patrzyła na mężczyznę roziskrzonemi oczami. I ona, biedna ekspedjentka z pralni pozwoliła mu podejść do stolika. Nie spłoszył go jej wygląd i maniery. Chce z nią rozmawiać.

On tymczasem po przerwie zaczął mówić dalej. Roztaczał przed Ireną nudę swego życia i jego wykwintne

urządzenia. Malował treściwemi zdaniami, które przypominały nieco kinowe sceny — życie na puszystych dywanach i atłasowych kanapach — życie kontrolowane spojrzeniami portretów i rodziny.

— Ach, gdyby tak można było ujść gdzieś daleko i rozpocząć nowe życie z kimś takim... zawahał się i spojrzał na nią. Z kimś takim — mówił dalej, ktoby pomagał, był prosty, bez przesady żyć potrafił...

— Ależ to bardzo proste! Przynajmniej mnie się tak wydaje. Tylko myślę, że najpierw trzeba się zakochać. Czy naprawdę jest tak trudno znaleźć swój ideał. o którym się marzy? — spytała dziewczyna, i naraz zlękła się, że usłyszy odpowiedź, która przekreśli ten miły nastrój, jaki odczuwała wszystkiemi zmęczonemi nerwami.

— Myślę, że tak. Nie tak często spotyka się piękne osóbki w kawiarni, a jeżeli się je już spotka — okazuje się, że są one bardzo niemiłe i nieciekawe.

— No i cóż pan myśli o swej nowej znajomej, która jest tak uprzejma, że pozwala prawić sobie impertynencje...

— Och, nie chciałem pani dotknąć. Tu może zawiniła moja szczerość. Mówię zawsze to co czuję. Pani jest zachwycająca, przecież powiedziałem to i zaraz zostałem przez panią ukarany... Myślę, że jeżeli chodzi o panią, byłbym posądzony w razie jakiego' mocniejszego akcentu sympatji, czy serdeczności z mej strony — o... chęć wyciągnięcia z tego jakichś korzyści...

Irena słuchała z zadowoleniem jego równego, matowego głosu. W duchu przyznawała chłopcu rację. Zresztą chciała go tylko podrażnić, a oto on tłomaczy się z taką skwapliwością i spokojem. Jest pewien siebie i jest mu z tem do twarzy — myślała Irena. To nie żaden bubek z ulicy, których pełno po zamknięciu sklepów między 6 a 7 wieczór.

— No więc rozumie mnie pani?... prawda?...

— Ależ oczywiście... żartowałam tylko. Niechże pan teraz opowie mi jeszcze coś o sobie. Tak bardzo lubię słuchać...

Jan pomyślał chwilę, poczem spojrzał na zegarek.

— Czy chciałaby pani zrobić coś dla mnie?

— O cóż chodzi — słucham pana.

— Przyznam się pani, że jestem strasznie głodny. Miałem zamiar wypić tu kawę posiedzieć trochę i pójść na kolację. A więc chodzi o to, czy zechciałaby pani wybrać się razem ze mną do restauracji. Znam tu jedną taką, gdzie podają dobrze zamrożone wódki i niezłe filety a la Nelson.

To niedaleko stąd. Jest tam także dobra orkiestra — zachęcał chłopiec. — To tuż za rogiem — Esplanada — wie pani?...

Irena pomyślała o chłodnej, mokrej od deszczu ulicy, małem mieszkaniu i zmęczonych twarzach rodziców. Przeszedł ją dreszcz na wspomnienie pustki tych powrotów do domu.

— Zgadzam się — powiedziała. Ale (bez tego „ale" nie obędzie się żadna dziewczyna na świecie), ...ale, musi pan obiecać, że długo tam nie będziemy. Rodzice moi byliby niespokojni o mnie.

— Przyrzekam — powiedział z zabawnie poważną miną Jan i zawołał kelnera.

Wyszli na ulicę w mgłę i siekący po twarzach deszcz.

* * *

Irena z zachwytem spojrzała wkoło. Tyle świateł! Oszałamiały ją te białe kaskady opadające bezgłośnie ze ścian i sufitu. Pławiła się w nich z niemym oddaniem. Jednocześnie zaś czuła się onieśmieloną w tej nowej atmosferze, dotąd tylko podglądanej z obojętnej i ciemnej widowni kina.

— Widzę, że pani jest zadowolona z mego wyboru — powiedział Jan dumnie.

Czy jest zadowolona? Boże! Gdyby ten chłopak wiedział, czem jest dla niej ten dzisiejszy wieczór i jaką on zajmuje w niem pozycję!... Ale na szczęście nie domyślał się tego. Czyż mógł bowiem przeczuć jakie życie było udziałem Ireny?

Wilgotne mury pralni, gorzkie wyziewy, bladość, niezdrowy pot występujący na czoło. I ten znienawidzony szyld wiszący nad temi torurami „Czystość".

Wszystko to było teraz bardzo dalekie od Ireny. Nieomal poza jej zdolnością pojmowania.

Jan układał menu. Irena słuchała, jak wybierał potrawy i dyktował je kolejno kelnerowi. Pytał się także, na co ona ma ochotę, ale Irena nie bardzo orjentowała się w tych dziwnych nazwach potraw.

Wszystko odbywało się tu — w tej dumnej, drogiej restauracji, „wyższych paru tysięcy" — w leniwym szumie rozmów, stłumionych śmiechów, niedomówień, raczej w głośnym szepcie wymienianych spojrzeń.

Jedli w milczeniu. Irena trochę niezręcznie wypiła wiśniówkę. Omal nie zakaszlała.

— Nie wie pani nawet, co znaczy dla mnie ten dzisiejszy miły wieczór. Mam ich bardzo mało w życiu. Najczęściej wybieram się sam. Ale dziś to prawdziwe święto. Czuję się, jakbym zdobył świat!...

I rzeczywiście Jan robił wrażenie człowieka, któremu sprawia radość otoczenie chwilowym przepychem i beztroskim dobrobytem tej nowej, przed paru godzinami poznanej znajomej.

A ona coraz lepiej się tu czuła. To, co ją spotkało tego dżdżystego wieczoru — bynajmniej nie wpływało na przykre porównania. Tak dalece zatarł się obraz rzeczywistości w tem dobrodziejstwie kłamstwa. Zdawało się Irenie, że zboczyła ze swej żmudnej drogi codziennych, denerwujących wysiłków. Myślała, że ta droga nigdy już nie zetknie się z tamtą. Dziewczyna była teraz pewniejsza siebie.

— No i co? Nie mówiłem, że filety są tu wyśmienite? Zwłaszcza ten sos!

Kelner nalał wina. Wtenczas Jan poprosił Irenę do tańca. Wyszła nieśmiało na parkiet, świadoma swej biednej sukienki. Kiedy jednak mężczyzna zamknął ją w swych silnych ramionach — odzyskała pewność siebie. Spoglądała odważnie na tańczące pary.

— Pani pysznie tańczy — Ireno.

— Eh — tak sobie chyba...

— Musi mi pani obiecać, że spotkamy się jeszcze kiedyś. Da mi pani swój adres, lub numer telefonu i ja przypomnę się kiedyś.

Wrócili do stołu. Jan pił dużo i Renie zdawało się, że jest podniecony.

— Ach, gdybym mógł zerwać z dotychczasowem życiem — westchnął tragicznie Jan. Wiele rzeczy inaczejby wtedy wyglądało.

— Niech pan spróbuje — chciała mu dodać otuchy dziewczyna.

— Pani zdaje się, że to takie łatwe. Moje... nasze życie — poprawił się, — jest takie skomplikowane! Ale... — zatrzymał się chwilę i spojrzał w jej oczy — wie pani co? Gdy tak patrzę na panią, czuję, że wiele rzeczy mógłbym dokonać. Pani mi zresztą pomoże, Ireno prawda? Zrobimy tak: będziemy się często spotykać i uradzimy, jak przezwyciężyć przeszkody, a może uda nam się pozostać na zawsze razem.

— Ależ my się prawie nie znamy!

— To nie ma znaczenia. Pewne rzeczy odczuwa się odrazu. Ja w tej chwili naprzykład wiem już napewno, że kocham cię Ireno. Poprstu pobierzemy się i uciekniemy w daleki świat. Ostateczna decyzja zależy tylko od ciebie.

Irena patrzyła na mówiącego. Podobał się jej. Teraz wiedziała to już napewno. Miał prostą, jasną sylwetkę, o stygmatach młodości i energji.

— Zgadzam się Janku. Poczem dodała: I ktoby to powiedział, że dziś jeszcze wydarzą się takie zmiany w mem życiu.

— A zatem zdrowie młodej pary, podróżującej slepingami po szerokim świecie.

Wypili. Nastała chwila szczęśliwej ciszy. Janek zawołał chłopca z papierosami.

— Daj mi cygaro „Havana" — rzekł. — Te po 6 złotych...

— Niestety, nie mam tych cygar. Może pozwoli pan inne...

— Zawsze palę „Havana"! I zawsze tu były te cygara...

— Dziś zabrakło.

— Powiedz dyrektorowi, że takie rzeczy nie powinny się zdarzać.

* * *

Pożegnali się na rogu ulicy. Irena prosiła, że dalej pójdzie piechotą. Janek uśmiechnął się — potem nachylił się ku gorącej twarzy dziewczyny i pocałował Irenę w usta.

— Dobrej nocy — Reno! Zadzwonić do Ciebie?

— Dobrej nocy — wyszeptała zdyszana i wyskoczyła z taksówki.

* * *

Drzwi sklepu kolonjalnego otworzyły się. Wszedł posłaniec. Na czapce miał wyszyty srebrny napis: „Czystość.

— Czy tu pracuje Jan Kierat? — zapytał.

Jeden z subjektów, który właśnie zawinął paczkę, wypisał rachunek na bloczku i wręczył go klientce — podszedł do posłańca. Wziął podaną kartkę i przeczytał uważnie.

— Zapłacę na pierwszego — powiedział subjekt i zarumienił się, widząc, że szef stoi obok.

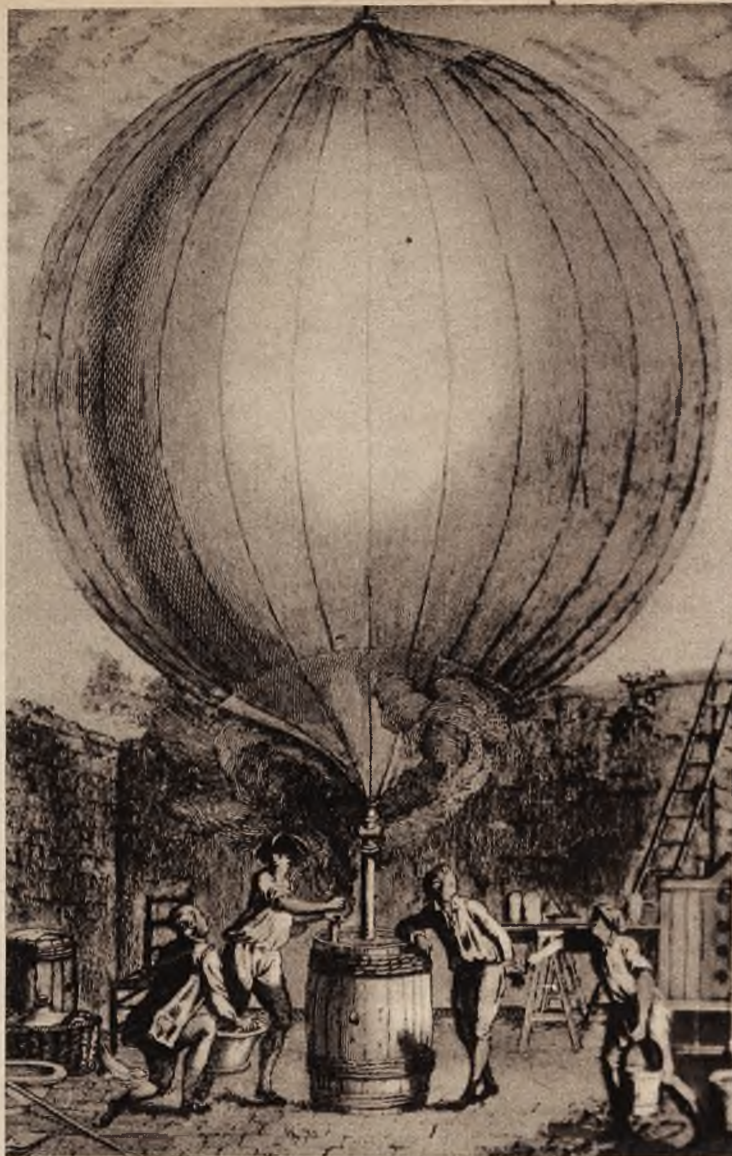
— To już drugi raz odchodzę z niczem — zapiał dyszkantem posłaniec. W przyszłości nie przyjmiemy od stróżki pańskiej bielizny. Więc kiedy ostatecznie mam przyjść?

Jan przypomniał sobie coś. Zaczął szperać po kieszeniach. Wydobył 10 złotych i podał je bez słowa chłopcu.

— Oto reszta — powiedział ten. Lepiej zaraz zapłacić. Poco mieć długi i nieprzyjemności. Do widzenia panu.

Jan wrócił za ladę.

— Jedyną przyjemność, jaką mam dwa razy w miesiącu, mając gażę 150 złotych, musi mi zawsze popsuć jakiś bydlak. No, ale przynajmniej wtedy wieczorem, kiedy spełniają się na krótko moje marzenia mogę oddychać pełną piersią. Zresztą dobrze, że pozbyłem się tego idjotycznego długu. Jakie szczęście, że wczoraj nie mieli w Esplanadzie tych cygar „Havana" — myślał Jan i wziął torbę, by odważyć dla kogoś kilo miałkiego cukru.



Na lewo: Pierwszą próbę wzniesienia się w powietrze w balonie podjęli bracia Mongolfier w 1753 r. Oto balon, zbudowany przez nich, według współczesnego sztychu.



»Latający pokój« Cyrano de Bergerac'a, według sztychu z r. 1710.

Od Ikara do Piccarda

Wyczyny stratosferyczne prof. Piccarda wydają się nam dzisiaj czemś nadwyraz współczesnem i symbolizują w naszem pojęciu postęp XX-go wieku. Chociaż nie możemy im zaprzeczyć wielkiej doniosłości a samemu pomysłowi uniesienia się w regjony, w których jeszcze „noga ludzka nie postała", oryginalności, to jednak byłoby bezwzględnie omyłką, gdybyśmy przypuszczali, że jest on zupełnie oryginalny i nowy. Przecież już znacznie przed naszą erą obserwowali ludzie lot ptaków, zastanawiając się nad tem, jakby wykorzystać w celach praktycznych poczynione doświadczenia. Ptak zawsze pozostał synonimem lotu, i słusznie, bo przecież natura wyposażyła go nietylko w niezawodny sprzęt „lotniczy", ale też w instynkt, którym nie rozporządza martwy samolot, a który staje się tylko czasem udziałem wytrawnego lotnika. Nic też dziwnego, że różni uczeni i fantaści opierając się na wiadomości, że powietrze nie sięga do samego księżyca, obmyślali lot na słońce, na księżyc i na gwiazdy. Dziwną jest rzeczą, że właśnie księżyc najbardziej przyciągał fantazję ludzką, stając się celem ich wyimaginowanych podróży. Widocznie srebrna tarcza, jaśniejąca na nocnem niebie wywierała jakiś magnetyczny wpływ na ludzi.

Dużo już pisano o próbach latania ludzkości w czasach starożytnych oraz późniejszych, ale wszyscy ci lotnicy „in spe" począwszy od greckie Ikara, który na woskowych skrzydłach zamierzał — wznieść się ku słońcu, aż po wielkiego artystę i wynalazcę Leonardo da Vinci, który swoje projekty lotnicze opierał na technice lotu ptaków, zajmowali się zagadnieniem swobodnego unoszenia się w powietrzu, nie sięgając już po sam księżyc. Druga grupa tych niedoszłych odkrywców względnie pionierów tego, co dzisiaj zostało zrealizowane, miała wyższe ambicje, myśląc poprostu o locie stratosferycznym.

Już w starożytnym Babilonie myślano o możliwościach swobodnego unoszenia się w powietrzu, jak wskazują na to odnalezione stare napisy na babilońskich pałacach. Mówią bowiem one o człowieku, który posługując się orłem jako „silnikiem" samolotowym, wzniósł się do gwiazd! Jak widzimy, myśl o lotach stratosferycznych datuje się zprzed 4000 lat!

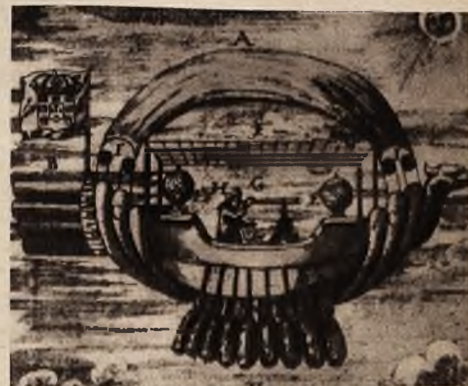
Pierwszym śladem tych fantazyj w literaturze światowej to nader ciekawa książka biskupa Francisa Godwina z r. 1638, zatytułowana: „Człowiek na księżycu". Romantyczna ta historja utrzymana w tonie tak lubianych wtedy fantastycznych opowieści, mówi o portugalskim żeglarzu Gonzalezie, który dostawszy się po rozbiciu okrętu na samotną wyspę, zbudował rodzaj aparatu, na którym zdołał wydostać się ze swojej wyspy... wstępując po drodze na księżyc! Książka owa cieszyła się ogromnem powodzeniem i została przetłumaczona na kilka języków; nic zresztą dziwnego: — przecież wziąwszy pod uwagę ówczesny stan techniki, pomysł autora był bardziej sensacyjny, niż wszystkie nasze współczesne pomysły tego rodzaju.

Słynny ze sztuki Edmunda Rostanda awanturnik gaskoński i właściciel największego nosa w królestwie francuskiem — Savinien de Cyrano de Bergerac — pozostawił rodzaj życiorysu swego, w którym puszczając wodze swej gaskońskiej fantazji, opowiedział, jak to będąc w Tuluzie, zbudował sobie drewnianą klatkę, której ściany wyłożone były grubem szkłem sferycznem ogniskującem w soczewkach promienie słoneczne. Przez nagrzanie powietrza wewnątrz klatki stawało się ono bardziej rzadkie, co powodowało unoszenie się całego pokoju (podobnego zresztą w pomyśle do kuli Piccarda) w powietrze. Słynny łgarz, ale równocześnie mający szczęśliwe pomysły jako fizyk, uprzedził w ten sposób pomysł braci Montgolfier, którzy za panowania Ludwika XVI zbudowali pierwszy balon, napełniając go gazem lżejszym od otaczającego powietrza i z tego powodu unoszącem go w górę. Ale nie dosyć na tem: Cyrano de Bergerac posiadał nie mniej niż 7 systemów wzlatywania w stratosferę! M. i. twierdził on, że podczas pełni księżyca można wznieść się w stratosferę posługując się przypływem morza. Istotnie wiedziano za czasów tego poprzednika Piccarda o wpływie księżyca na przypływ i odpływ morza. Nie chodzi nam oczywiście o naukową wartość teorji Cyrano de Bergeraca, ale o fakt, że umysły ówczesne zaprzątała stale myśl o locie na księżyc i wogóle zagadnienia lotu stratosferycznego.

Niemniej ciekawą jest książka wydana w r. 1684 w Norymberdze, a opowiadająca również o podróży na księżyc. Jedna z ilustracyj uwidacznia nam śmiałka, który na oryginalnym aparacie dostał się na tę planetę. Oczywista, że ludzie ówcześni nie byli



Sztych z dzieła »Człowiek na księżycu« z 1638 r. zaznajamia nas z fantastycznym »samolotem«, mającym umożliwić komunikację z księżycem.



Klasyczną kaczką dziennikarską był artykuł o latającym okręcie, który ukazał się w 1709 r. z powyższą ilustracją.

na tyle naiwni, aby wszystkie te opowieści brać na serjo, podobnie jak my nie przejmujemy się zbytnio fantazjami Wellsa. Ale zdarzył się w XVIII wieku ciekawy wypadek ukazujący nam, że „kaczki dziennikarskie" są wieczne, a łatwowierność ludzka wielka. Otóż jeden z humorystów wiedeńskich napisał również fantazję na temat podróży na księżyc i, co jest ciekawsze, każde jego słowo znalazło pełną wiarę u współczesnych! Pewien dziennik wiedeński przyniósł w numerze z dnia 1 czerwca 1709 r. szczegółowy „reportaż" o latającym statku, dając również odpowiednią ilustrację. Artykuł napisany był z tak przekonywującą siłą i tak szczegółowo, że nie mogła zachodzić wątpliwość co do jego prawdomówności. M. in. wyraża się autor, że takie latające okręty mogą mieć świetne zastosowanie dla wojska. Wprawdzie autor nie twierdzi, że wylądował na księżycu, ale skromnie przyznaje, że przeleciał koło niego, obserwując krajobraz, rzeki, lasy, góry i doliny, jak również robiąc notatki odnośnie zamieszkujących księżyc ludzi. Twierdzi on, że „księżycowcy" są dziwnemi stworzeniami, które poruszają się nie mając ani nóg ani rąk, natomiast posiadają na plecach rodzaj domku podobnie jak ślimaki. Z tego też powodu nie potrzebują domów, nosząc własne mieszkanie na sobie. Autor artykułu kończy swoje obserwacje twierdzeniem, że posiadając 30 lub 40 takich latających okrętów możnaby łatwo dokonać okupacji księżyca i wykorzystać go praktycznie. Widocznie liczył może na to, że jakiś imperjalistyczny rząd udzieli mu odpowiednich subwencyj na budowę tych okrętów, co znacznie poprawiłoby stan jego kieszeni!

Również ciekawą, a może nawet ciekawszą była fantastyczna powieść p. t. „Caklogallinia" napisana przez Samuela Brunta, a wydana w Anglji w r 1727. Zarówno bardzo



Obrazek z życia fantastycznego kraju Cacklogallinia, według sztychu z r. 1727.

żywy styl, jak też dużo humorystycznych pomysłów spowodowały współczesnych, aby przypisać ją słynnemu twórcy „Gulliwera" Jonatanowi Swiftowi. Opis fantastycznej krainy Caklogallinia nie pozbawiony jest pewnego uroku. Autor znalazłszy się wśród dziwnych mieszkańców tej planety, opisuje ich życie: Są oni wielkości człowieka, ale w wielu szczegółach odbiegają od niego. Rolę wieśniaków odgrywają koguty i kury, a życie ich równie jest cywilizowane, jak życie ludzi. Mądre te stworzenia pomagają człowiekowi w dostaniu się na księżyc, a mieszkańcy ludzcy Caklogallinį wybierają się tam tem chętniej, że mogą zdobyć tam wiele złota. Cała opowieść, a zwłaszcza wyprawa po złoto na księżyc jest wyraźnym oddźwiękiem olbrzymiego ówczesnego skandalu finansowego, wywołanego przez machinacje z biletami skarbowemi Law'a.

Mówiliśmy dotychczas o tworach fantazji, których autorzy nie wymagali nawet, aby brano ich serjo. Ale przejdźmy do pomysłów poważniejszych, a nawet... opatentowanych! Oto w r. 1841 pewien Anglik, Karol Golightly wymyślił rakietę stratosferyczną i opatentował ją. Chociaż nigdy nie dowiedziała się szeroka publiczność, na czem polegała tajemnica rakiety stratosferycznej, to jednak coś ze szczegółów musiało przedostać się do jej wiadomości, bo w tym samym czasie ukazały się humorystyczne opisy wyprawy w przestworza, przy pomocy tego wynalazku. Bardzo możliwe, że na pomyśle Golightly'ego opierał się niezmordowany fantasta Juljusz Verne w swojej książce „Podróż na księżyc". Inaczej podszedł do zagadnienia M. G. Wells w swej powieści „Pierwsi ludzie na księżycu": Mówi on tam o wynalezieniu jakiegoś płynu, który nie podlega sile przyciągania ziemi i z tego powodu pozwala unieść się nam z naszego doczesnego więzienia w bezkresne przestrzenie.

Tak oto przedstawiają się różne pomysły ludzkie, zdążające do jednego celu: wyrwania się z granic naszego globu i swobodnego szybowania w przestworzach.

Nie może nas jednak dziwić, że właśnie od fantastycznych pomysłów rozpoczęła ludzkość realizację swych marzeń, gdyż u źródła każdego wynalazku spoczywa przecież fantazja, to jest nie liczenie się z trudnościami i z dotychczasowymi rezultatami.

j.

CIEKAWE DROBIAZGI

Wrażliwość skóry ludzkiej na zmiany temperatury.

Badania przeprowadzone w nowojorskim Instytucie Patologji wykazały, że skóra twarzy ludzkiej jest o wiele bardziej wrażliwa na zmiany temperatury, niż najbardziej czułe termometry.

Człowiek, którego twarz naświetlano promieniami o różnej długości fali, odczuwał różnice temperatury przy podwyższeniu jej zaledwie o 5/10000 stopnia. Tymczasem najczulsze termometry notują tylko różnice 1/1000 stopnia.

Które choroby zwierząt udzielają się ludziom?

Już dawno ustalono, że popularnemi chorobami zwierząt, które udzielają się ludziom są: wścieklizna, wąglik, nosacizna, gruźlica, choroba pyska i racic.

Nowsze badania dodają do wyżej wymienionych chorób jeszcze kilka innych. W pierwszym rzędzie należy do nich grupa chorób pod mianem Brucellozy, którą powoduje drobnoustrój, występujący w kilku odmianach, groźny dla kóz, bydła rogatego i świń.

Z chorób tej grupy najbardziej rozpowszechnioną jest gorączka maltańska, powodowana przez pałeczki Banga, które wraz z mlekiem chorych kóz przedostają się do organizmu ludzkiego, wywołując chorobowe gorączkowanie wraz z okresami silnego nasilenia tej gorączki.

Różyca świń może udzielić się człowiekowi, wywołując u niego objawy chorobowe skóry, wyglądem bardzo przypominające słaby przebieg róży. Również tularemia — choroba gryzoniów, przenosi się na człowieka, który przechodzi ją w postaci owrzodzeń skóry, nabrzmienia gruczołów i stanu gorączkowego. Chorobę tę napotkać można w Stanach Zjednoczonych, w Rosji oraz Norwegji.

Obecnie uczeni zajmują się sprawą zakażenia człowieka anemją zakaźną, występującą u koni. Dotychczasowe jednak spostrzeżenia nie dały jeszcze definitywnego rozwiązania tej sprawy.



Człowiek o „żelaznych płucach".

Sensacyjna kuracja miljonera.

Prasa całego świata doniosła ostatnio o niezwykłej kuracji, zapomocą której lekarze amerykańscy zamierzają uratować syna chicagowskiego miljonera. Fryderyka B. Snitte. Młody ten człowiek doznał podczas swego pobytu w Chinach w pewnej katastrofie ciężkich obrażeń płucnych, które sprowadziłyby jego natychmiastową śmierć, gdyby wykonał najmniejszy nawet ruch. Jedynym ratunkiem mogło być umieszczenie go w metalowej rurze, zwanej „żelaznemi płucami", będącej w posiadaniu jednego ze szpitali w Szanghaju. Umieszczono więc chorego w owym aparacie i przeniesiono na pokład okrętu „Prezydent Coolidge", który wyruszył do Chicago Po przybyciu do tego miasta, chory został umieszczony w identycznym aparacie i po dłuższym czasie, jak twierdzą lekarze, Fryderyk B. Snitte liczyć może na wyzdrowienie. Kuracja ta jest więc, jak widzimy, jedną z najbardziej sensacyjnych, wskazując równocześnie na olbrzymie możliwości leczenia, pod warunkiem oczywiście, że pacjent jest synem amerykańskiego miljonera!

Czy można zatruć zbiorniki wodne w miastach?

Niejednokrotnie poruszano niebezpieczeństwo zatrucia wodociągów miejskich zapomocą zrzucenia z samolotu większej ilości trucizny. Dokładne badania przeprowadzone odnośnie do tej możliwości dały nieoczekiwane rezultaty. Oto obliczenia, które przeprowadzono dla jednej z najgwałtowniejszych trucizn, cjanku potasu, wykazały, że działanie tej trucizny występuje przy wprowadzeniu jednej części wagowej na 200.000 części wagi ciała. Przyjmując wagę człowieka na 75 kg, otrzymano ilość 0.37 grama trucizny jako dawkę śmiertelną. Truciznę musiałoby się rozpuścić w litrze wody, która powinna być odrazu wypita. Już połowa tej dawki wpływa szkodliwie na zdrowie ludzkie. Ostatecznie więc 0.2 grama jest dawką, która rozpuszczona w litrze wody, działałaby szkodliwie.

Jeżeli jednak zważy się, że drobną tę ilość cjanku trzeba pomnożyć przez miljony litrów wody, które znajdują się w wodociągach, aby bezpośrednio zrealizować plan zatrucia wody, to niebezpieczeństwo przestaje być bezpośrednie. Ilość bowiem trucizny wyrażać musiałaby się w dziesiątkach tonn, które trzebaby wprowadzić niepostrzeżenie do zbiorników wodnych.

W OCZEKIWANIU NA DZWONEK INSPICJENTA...

Artystka filmowa Inez Garcia. Fot. Willinger, Wiedeń



SPOWIEDŹ DON JUANA

Jak zdobywa się kobiety?

Popełniamy wielką omyłkę, jeżeli mówimy o kobietach w ogólności tak, jakgdyby one były jednego typu, i jakgdyby jednakowo reagowały. Jest to wielkie złudzenie, gdyż niema dwóch jednakowych kobiet na świecie: każda z nich posiada swoje indywidualne cechy i to właśnie jest jej zaletą.

Istnieje tysiąc sposobów, aby zyskać serce kobiety. Zależy to zresztą od typu kobiety, z którą mamy do czynienia. „Spryciarze" z Hollywood poczynili to odkrycie już dawno przede mną.

Niektóre kobiety zakochują się w mężczyźnie dlatego, że je poprostu ignoruje, a obojętność jego jest dla nich właśnie największą atrakcją. Ale są też takie, dla których brutalność mężczyzny i złe traktowanie stanowi właśnie ten dziwny wabik. Zapewne, że również wytworny, miły i uprzejmy mężczyzna będzie się im podobać, ale nigdy nie wzbudzi w nich namiętności. Ale są też kobiety, które mają specjalną predylekcję do nieśmiałości u mężczyzn, a jeszcze inną kategorję zachwyca pewnego rodzaju zawadjactwo. Również cisi bohaterowie, którzy ukrywają swoje wyczyny, znajdują wyznawczynie.

Jeżeli chodzi o mnie, to jestem zdania, że każdy mężczyzna powinien mieć własną taktykę. Co do mej osobistej „strategji", to podobała się ona miljonom kobiet. Mogę to spokojnie i uczciwie oświadczyć. Wątpicie może? Jeżeliby moje poglądy na zdobywanie serca kobiecego nie zyskały uznania miljonów osób, nie mógłbym poprostu dzisiaj zabierać w tej sprawie głosu z tego prostego powodu, że byłbym nieznanym zupełnie aktorem filmowym. Aby jednak Czytelnicy nie tworzyli sobie fałszywego poglądu na moje wynurzenia, oświadczam zaraz na wstępie, że nie jestem ani Byronem, ani też Don Juanem i nie będę nim nigdy. Nie posiadam ambicji ucieleśnienia typu wielkiego amanta. Typ taki staje się „strawnym" jedynie w perspektywie wieków. Jestem poprostu szczęśliwym mężem, a zainteresowanie moje dla sztuki zdobywania serc kobiecych zarezerwowałem jedynie srebrnemu ekranowi. Wierzę jednak również w romantyczność miłości.

Mężczyzna, który w czynie i słowie wykazuje pewien urok, nie może nie odnieść sukcesu u kobiet. Ale jakimże ma on być? Bo nawet jeżeli będzie piękny i dobry, jeżeli będzie posiadał zalety praktyczne, będzie mądry, to mimo to kobiety wymagają jeszcze czegoś więcej. Chcą poprostu, aby przedstawiono im przyszłość w różowych kolorach, wymagają romantyzmu. Nie chcą, aby im przypomniano, że życie składa się z, niestety, po większej części zwykłych, codziennych wydarzeń. To też twierdzę, że sztuka miłości polega na tem, aby swoją wybrankę przenieść w krainę bajki, choćby na jeden dzień, na godzinę, choćby tylko na minutę. Kobiety marzą o takich chwilach, co tłumaczy też, że nieraz rozsądne i urocze kobiety wolą bezwartościowego mężczyznę od człowieka ciekawego i mądrego. Z tej też psychologji płyną różne konflikty małżeńskie, w których mężowi się zdaje, że dając żonie suknie, utrzymanie i mieszkanie, zaspakaja wszystkie jej potrzeby. Wielką jest też omyłką, jeżeli przypuszczamy, że zyskawszy raz miłość swej żony zapewniliśmy ją sobie na zawsze i możemy ją teraz zaniedbywać. Spokój, a co więcej harmonję w małżeństwie, utrzymują takie drobne rzeczy, jak kilka kwiatów, przyniesionych niespodziewanie, jakiś miły komplement i inne codzienne objawy naszej miłości, których nie można zastąpić niczem innem. Drobne urazy wyniesione z codziennego życia są jak proch strzelniczy: wystarczy mała iskierka, aby wszystko wyleciało w powietrze.

Nawet w najtrudniejszych okolicznościach starałem się zawsze zachować w mojej grze naturalny urok, który mojem zdaniem, tak podoba się kobietom. Stworzyłem sobie typ mężczyzny pełnego rycerskości: zawsze gotowy ponieść dla kobiety wszelkiego rodzaju poświęcenia, jednocześnie jednak dosyć silny, aby nie stać się jej niewolnikiem, oto zasadnicze cechy mojej gry. W miłości mężczyzna musi grać rolę myśliwego, a kobieta rolę zwierzyny. Polowanie to powinno być dyskretne, ukryte, subtelne i pełne tajemnicy, ale w każdym razie musi zachować charakter polowania. Jak na każdem polowaniu jedna ze stron musi pozostać zwycięzcą. Jeżeli jednak kobieta spostrzeże, że mężczyzna, który udaje myśliwego nie jest bynajmniej niebezpieczny i można go byle słowem odstraszyć, pełna jest... goryczy i zniechęcenia, a uczucia jej wobec swego „prześladowcy" słabną.

Co do mnie, to lubię zdobywać kobiety w sposób delikatny. Chwile takie wymagają orchidei w klapie marynarki, wymagają też wytwornego taktu i rozrzutności, która musi objawiać się w pięknym geście wobec ukochanej. Całe zachowanie nasze musi nosić na sobie piętno hołdu wobec kuszącej, młodej kobiety. Jestem przekonany, że żadna kobieta inteligentna, a tylko takie mają w mojem pojęciu znaczenie — nie powie mężczyźnie „tak", o ile rozrzutność jego wypływa jedynie z przyzwyczajenia, a nie została wywołana specjalnemi okolicznościami, w jakich się oboje znajdują.

Skoro mówimy o miłości i o flircie, a ja osobiście mam szczęście być mężem jednej z najbardziej uroczych kobiet, chcę dodać, że uwagi moje mogą się przydać nietylko kawalerom, ale również ludziom żonatym. Zdajmy sobie bowiem sprawę z tego, że zabieganie o łaski kobiety nie kończy się na ślubnym kobiercu. W każdym razie n i e p o w i n n o się tam kończyć. Kobieta nie powinna się stać rzeczą zwykłą, samą przez się zrozumiałą, codzienną: w każdej chwili musi ją otaczać ta sama adoracja i zainteresowanie, co przed ślubem, tak, jagdybyśmy mogli ją każdej chwili stracić. Oto moje skromne zdanie o kunszcie zdobywania serca kobiety. Korzystajcie z nich wedle możności!



Adolf Menjou dzieli się z Czytelnikami „Asa" swemi doświadczeniami jako „klasyczny" uwodziciel ekranu.

YIN-CZI
chiński teatr cieni



dy nad Sanghajem, metropolją handlową współczesnych Chin zapada zmrok i pryncypalne arterje komunikacyjne międzynarodowego settlementu Nanking Road lub Avenue Joffre rozbłysną tysiącami świateł, w „China Town" wiecznie tętniącej gorączkowem życiem dzielnicy chińskiej, przy mdłym blasku kolorowych lampionów, przewalają się po chodnikach i jezdniach szwargoczące tłumy obywateli państwa „Niebieskiego Smoka" i w ślepych zaułkach nad brzegami rzeki Wankpoo tłoczące się u wejść do teatrzyków cieni. Wśród rzeszy widzów, żądnych emocjonującego widowiska, napotkać można czasami nielicznych Europejczyków czy Amerykanów przeważnie sinologów albo orjentalistów. Teatr cieni stanowi widomy zewnętrzny wykładnik prastarej chińskiej kultury i chińskiej cywilizacji, na przestrzeni wieków, począwszy od mglistych patryjarchalnych okresów tworzenia się państwa jako jednolitej całości, za rządów bajecznego Fohi oraz nawpół mitycznych dynastyj Hia i Szang, poprzez pełne chwały epoki panujących z rodów Czu, Hanów, Tangów czy Mingów, aż do chwili upadku cesarstwa i proklamowania republiki.

„Yin-czi", teatr cieni, w treści swych spektakli, jest wiernem odbiciem różnych mistycznych systemów religijno-filozoficznych.

Jeżeli można wierzyć anegdocie historycznej, pierwsze przedstawienie teatru cieni, wyprzedzającego o 17 wieków teatr żywych aktorów, miało miejsce właśnie w siedzibie władcy, położonej nad brzegiem rzeki Żółtej, za rządów cesarza Wu, to znaczy mniej więcej na tysiąc lat przed naszą erą! Złotnik nadworny nazwiskiem Jen-Szi, pragnąc zabawić panującego i rozerwać znudzonych dworzan, zademonstrował w pałacu cesarskim, skonstruowany przez siebie teatrzyk. Przed oczyma licznych gości na papierowym ekranie, oświetlonym z zewnątrz mdłym blaskiem kaganka, bohater sztuki zarysowany wyraźnymi konturami swego cienia staczał straszliwe walki z demonami i rozbójnikami.

Damy dworu przejęte akcją utworu dostały w kulminacyjnym punkcie widowiska ataków histerji, a cesarz w obawie, iż wyczyny bohatera przyćmią blask jego sławy, dał znak do przerwania spektaklu i rozkazał ściąć głowę wykonawcy głównej roli! Wówczas złotnik Jen-Szi ośmielił się zaprosić monarchę „za kulisy" teatrzyku.

Zdumiony władca stwierdził naocznie, iż bohater sztuki jest podobnie, jak reszta artystów, zwyczajną płaską figurką, wyciętą z oślej skóry, u swych luźno przytwierdzonych części zaopatrzonej sznureczkami przy pomocy których mistrz zręcznie poruszał z ukrycia figurą, nadając jej żądaną plastykę ruchów. Od tej chwili złotnik Jen-Szi zyskiwał najwyższe pochwały cesarza Wu i mandarynów, a teatrzyk jego miał zapewnione powodzenie. Historycznie pewnym natomiast jest fakt, że na sto lat przed Chr. mnich buddyjski, bonza Szao-Weng przy pomocy złudzeń optycznych i teatrzyku cieni, zrozpaczonemu po stracie swej ukochanej konkubiny, cesarzowi Wu-ti, wskrzeszał obraz zmarłej.

Na zbliżonych przesłankach opiera się inna, niemniej stara legenda, odnosząca się do teatru cieni.

Za rządów dynastji Hanów, stolicę państwa Ping-Czeng oblegał książę mongolski Mao-Fin, którego namiot zamieszkiwała młoda, a nader zazdrosna świeżo poślubiona małżonka. Żona znajdującego się w krytycznem położeniu cesarza chińskiego, pełna finezji Mu, zdając sobie sprawę z doniosłej roli, jaką w życiu młodej pary odgrywa zazdrość kobieca, postanowiła wykorzystać ten moment psychiczny z całą perfidją.

I oto pewnej nocy na murach oblężonej twierdzy, pojawiły się sylwety kobiet, gestami okazujących pragnienie miłości i lubieżnemi znakami przyzywających żołnierzy księcia Mongolj. Jedna zwłaszcza, pięknie zbudowana postać niewieścia, bez żadnego okrycia, ukazywała się noc w noc naprzeciwko namiotu wodza, młodego księcia Mao-Fin. Zadrgało na tego rodzaju widowisko serce książęcej małżonki, a po gwałtownej scenie zazdrości zrobionej panu i władcy, wobec całej armji, zmuszony został waleczny książę do zaniechania oblężenia. Cały, niemal niezliczony szereg legend, otaczających po dziś dzień teatr cieni, świadczy najdobitniej o ogromnej popularności, jaką cieszy się on w Chinach. Wieki przyniosły postęp w wszelakich dziedzinach. Oparł się jedynie teatrzyk konturowych figur, którego strona techniczna i artystyczna nie uległy żadnym zmianom.

Jak ongiś za czasów cesarza Wu, czy bonzy Szao-Wenga, tak i dziś w Nankinie, Peipinie, Kantonie czy Hankau tłoczą się tłumy by przeżyć kilka godzin pełnych emocji.

Yin-czi nosi również miano „yu-ko-sze", która to nazwa stanowi poprostu złączenie trzech słów, wyrażających zasadnicze elementy składowe teatru cieni. „Yu" bowiem oznacza rękę, a więc motor plastyki ruchów. „ko" skórę zwierzęcia czyli materjał niezbędny do wykonania figur, zaś „sze — język, dzięki któremu mistrz naśladuje szereg dźwięków, potrzebnych do ilustracji akcji scenicznej. Zarówno po miastach, osadach i wioskach teatr cieni stanowi stale najgroźniejszego rywala dla teatru żywych aktorów, będących spadkobiercami duchowemi twórcy pierwszej tego rodzaju sceny na świecie, cesarza Ming-huanga. Lecz publiczność chińska szuka w teatrze oderwania się od szarzyzny i trosk codziennego życia, żąda od sceny złudzeń i niesamowitych wrażeń. Z ekranu teatrzyku cieni przemawia do widzów wybitny realizm, aczkolwiek ujęty niejednokrotnie w ramy niemożliwości fizycznych. Umiłowaniom publiczności chińskiej odpowiadałoby raczej kino. Niestety filmja chińska znajduje się dopiero na progu swego rozwoju. Teatr cieni święci nadal triumfy, a nawet przeżywa swój renesans, szczycąc się w samym Peipingu pokazną cyfrą stu dwudziestu scen.

Pięknie wykonane proscenium, ozdobione bogato snycerską robotą dawnych mistrzów, charakterystycznie inkrustowana srebrem skrzynka na lalki, oraz same figurynki ze specjalnie wygarbowanej niemal przeźroczystej oślej skóry, stanowią objekty chętnie nabywane i poszukiwane przez uczonych sinologów i amerykańskich snobów. Napotyka się jednakże teatrzyki, których ramy, są zwykłemi deseczkami z pak z herbatą, a ekran arkuszem potłuszczonego papieru. Lecz widzom chińskim, zapatrzonym i zasłuchanym w treść dramatycznych opowieści popularngo autora Hi-Kin czy Juan Czeng'a, zewnętrzny wygląd sceny w zupełności nie przeszkadzam...

Mieczysław Turski.



Kamienny smok przed jedną z świątyń w Pekinie.



Poranny spacer wśród lasów w Juracie stanowi ulubioną rozrywkę P. Prezydenta Rzplitej. *Wszystkie zdjęcia W. PIKIEL — Warszawa*



W tym minjaturowym domku week-endowym zamieszkał Pan Prezydent Ignacy Mościcki podczas swych wywczasów letnich w Juracie



W „week-endowej" miłej atmosferze odbywają się śniadania w siedzibie letniej P. Prezydenta. Na zdjęciu widoczni: na prawo od P. Prezydenta, min. Beck oraz czwarta po tej stronie p. prezydentowa Mościcka, po drugiej stronie stołu p. Bobkowska rozmawiająca z p. Beckową, ponadto szef kanc. cyw. p. Łepkowski z małżonką, gen. kom. w Gdańsku Chodacki z małżonką oraz p. Starzyński.

LATO W JURACIE

Najbardziej nawet demokratyczny monarcha czy naczelnik państwa musi być, siłą rzeczy, otoczony pewnym ceremonjałem, oddzielającym jego postać od ogółu obywateli Technika życiowa osób stojących na czele państwa, wymaga tego dystansu, gdyż trudno byłoby sobie wyobrazić jakiegoś współczesnego Harun-al-Raszyda, wędrującego „incognito" po wąskich uliczkach swojej stolicy

Ale nawet dla tych najwyżej postawionych w społeczeństwie jednostek przychodzą chwile, w których cały ceremonjał zostaje na pewien czas odesłany do lamusa a swoboda ruchów, bezpośredniość zetknięcia się z otoczeniem a prawdziwy wypoczynek zajmują miejsce męczącego nieraz oficjalnego „savoir — vivre'u". I wtedy poznajemy najlepiej tych, których zazwyczaj zwykliśmy widzieć podczas uroczystości państwowych i w lśniących mundurach. Chociaż w życiu Pana Prezydenta R. P. prof. Ignacego Mościckiego jedynie głęboki szacunek ogółu dla Jego zasług i umysłu stanowi tę barjerę, wytwarzaną gdzieindziej sztucznie, to jednak dopiero podczas wakacyj poznajemy w pełni Jego dobry, ojcowski uśmiech, nie krępowany protokółem ceremonjału.

Wywczasy Pana Prezydenta R. P. w Juracie przypominają wakacje przeciętnego obywatela, który po wielu miesiącach odpowiedzialnej pracy, zamierza poświęcić się jedynie swoim ulubionym rozrywkom. Również letnia rezydencja Pana Prezydenta przypomina miły, a skromny domek week-endowy, którego czar polega na pięknem położeniu, w bliskości morza i lasów. Chociaż mały rozmiarami, to jednak domek ten jest nader gościnny i nieraz przy śniadaniu, czy obiedzie gromadzi kilkanaście osób, zaproszonych przez Głowę Państwa i Jego dostojną Małżonkę, która czyni tu honory domu z uroczą uprzejmością. **m.**



Z wakacji P. Prezydenta: wyjazd na morze łodzią, w której również i P. Prezydent dzielnie wiosłuje.



Osadnik z widokiem na Stację Pomp Rzecznych.

JAKĄ WODĘ PIJE STOLICA?

Nie wszystkim wiadomo, iż w jednym centymetrze sześciennym zanieczyszczonej wody może swobodnie żyć do 30.000 bakteryj. Szklanka wody, mierząca 250 cm³ pomieścić może około 7 i pół miljona chorobo-twórczych bakteryj.

Niestety w Polsce zadużo pijemy złej wody, będącej rozsadnikiem chorób a czerpanej z 2 miljonów studzien przeważnie niebadanych pod względem bakteryjnym i chemicznym.

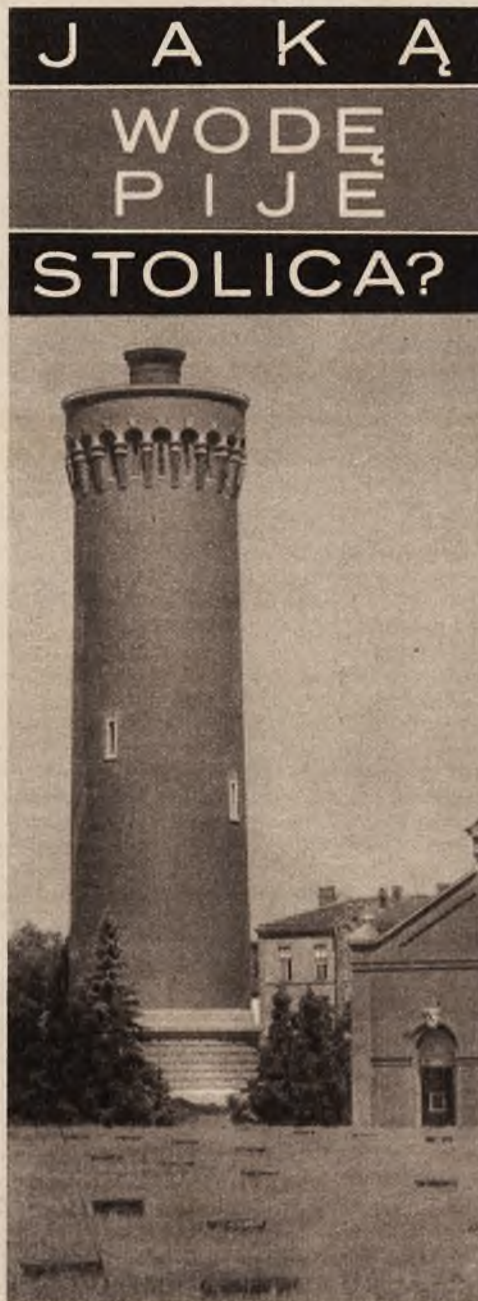
Na 636 miast polskich, zaledwie 162 posiada wodociągi. Smutnym unikatem jest Łódź o 700 tys. mieszk. nie posiadająca do dnia dzisiejszego wodociągów! Najbliższą towarzyszkę swej wodociągowej niedoli spotyka Łódź, aż w Indjach, lub w Chinach, gdyż wszystkie miasta europejskie, liczące 700 tys. m. mają oddawna urządzoną sieć wodociągowo-kanalizacyjną.

Wielcy wodzowie narodów dbali już w przeszłości o dostarczenie dobrej wody swemu ludowi. Znamy z historji starego zakonu różdżkarskie zdolności Mojżesza, wiemy o wodociągach zakładanych przez króla Ramzesa Wielkiego, królowę Semiramidę i króla Salomona.

W Grecji w roku 687 podziemne kanały wodne przeprowadził z Megary do innych miast architekt Eupalinos.

Rzym do dnia dzisiejszego korzysta z wodociągów M. Agryppy, założonych w roku 22 przed Chrystusem. „Aqua Felice di Termini", Fontanna di Trevi, Virgo Aqua i Claudja Aqua. Po dziś dzień dziesiątki kilometrów ciągną się malowniczo gigantyczne akwadukty, posiadające kilka pięter, na których biegła woda od 15 do 30 godzin po przewodach z drzewa, ołowiu, skóry i kamienia. Ciekawe, iż Rzymianie ówcześni nie znając prawa o połączonych naczyniach, przeprowadzali wodę spadkiem naturalnym, akwaduktów, — od źródła zwanego „Caput Aquae", aż do zbiorników zwanych „Castellum", leżących u bram miasta, skąd doprowadzono wodę podziemnemi rurami ołowianemi i drewnianemi do domów. Rzym przodował w zużyciu wody przez swoich mieszkańców dawniej i przoduje dziś, gdyż współczesny mieszkaniec Rzymu zużywa na dobę 544 litrów, w czasie gdy londyńczyk 482 litrów!...

Pierwszym polskim wodociągowcem był Mikołaj Kopernik, zaś pierwsze wiadomości o urządzeniach wodociągowych na zamku warszawskim, znajdujemy z roku 1607. Rury wodociągowe robione były w Polsce z drzewa jodłowego, odznaczającego się wyjątkową odpornością.



Wieża ciśnień nowych wodociągów warszawskich.

W zeszłym roku Warszawa obchodziła 50-lecie działania wodociągów i kanalizacji. W r. 1855 Warszawa, licząca podówczas 430.000 mieszkańców, posiadała już jeden zakład wodociągowy przy ul. Karowej, a drugi, funkcjonujący od roku 1869 na Pradze przy ul. Szerokiej. Z tych to czasów zachował się romantyczny budynek w charakterze świątyni Vesty, w ogrodzie Saskim, będący zbiornikiem wodociągowym zaprojektowanym przez inż. architektę Marconiego. Ówczesne urządzenia wodociągowe były niewystarczające. Wodę źle oczyszczoną i w minimalnych ilościach doprowadzano do nielicznych domów.

Twórcą nowoczesnego zaopatrywania Warszawy w wodę był prezydent miasta Sokrates Starynkiewicz. Za jego to staraniami oraz inż. Alfonsa Grotowskiego, sprowadzono do Warszawy w roku 1876 angielskiego inż. Wiliama Lindley'a, który wspólnie ze swym synem inż. Wiliamem Heerleinem wykonał projekty wodociągów i kanalizacji Warszawy. Realizacja tych prac trwała od roku 1883 do 1914 roku. W roku 1886 uruchomiono część wodociągów. Zdrowotność miasta z tą chwilą polepszyła się a śmiertelność z powodu duru brzusznego spadła niemal zupełnie. Od roku 1918 sieć wodociągowa i kanalizacyjna wzrosła 3-krotnie. W r. 1924 wodociągi i kanalizacja stały się miejską jednostką gospodarczo wyodrębnioną i pracującą z wielkim rozmachem.

Dziś warszawska sieć wodociągowa liczy 575 tys. metrów, a kanalizacyjna 315 tys. 70% ludności miasta korzysta z sieci wodociągowej, którą filtrowana woda dopływa do wszystkich krańców stolicy.

Na czele kierownictwa sieci stoi znakomity fachowiec inż. Włodzimierz Rabczewski z sztabem zdolnych inżynierów.

Proces dostarczania wody przedstawia się: 1) w ujęciu wody, 2) oczyszczaniu i jej tłoczeniu, 3) rozprowadzeniu wody do sieci. Wodociągi miejskie czerpią wodę z Wisły bądź to wprost z rzeki, lub przez osadnik z zatoczki, przez kanał grawitacyjny i wielkie elektropompy.

Pierwszy moment ujmowania wody odbywa się na stacji pomp rzecznych przy ul. Czerniakowskiej Brzeg Wisły, należący do wodociągów jest zabezpieczony. Niestety publiczność, nie zdając sobie sprawy z ważności tego terenu często go niszczy, wdzierając się bezprawnie i robiąc szkody swem niekulturalnem zachowaniem. Na brzegu w miesiącach letnich pracuje pływająca draga nad pogłębianiem koryta. Woda z Wisły przepływa kanałem grawitacyjnym oraz drogą przez osadnik, zbudowany w r. 1928! Osadnik o powierzchni 17,8 ha, o głębokości do 4 m, służy do dokładniejszego przygotowania wody i do dalszego jej filtrowania i magazynowania, w ilości 3—4-dniowego jej zużycia przez miasto, w wy-



Fragment laboratorjum w gmachu filtrów pośpiesznych.



Muzeum wodociągów i kanalizacji posiada wiele ciekawych eksponatów.



Elektropompy w jednej z hal Stacji Pomp Rzecznych.

padkach konieczności zaniechania na parę dni czerpania wody bezpośrednio z Wisły (w czasie wezbrania Wisły, gdy woda zawiera większą ilość zawiesin).

Na stacji pomp rzecznych zainstalowano maszyny o sile 2760 KM. Gdyby wszystkie maszyny pracowały jednocześnie, dostarczałyby ok. 280.000 l. wody.

Stacja posiada 4 hale pomp parowych i elektrycznych i tłoczy wodę na filtry 4-ma przewodami tłocznymi. Filtry, mieszczące się przy ul. Filtrowej składają się z pośpiesznych i powolnych. Uruchomienie filtrów pośpiesznych odbyło się 21 marca 1933 r.

Z powodu upływającego 50-lecia działalności wodociągów (3 czerwca 1936 r.) — w dniu 10-lecia piastowania przez Prezydenta Ignacego Mościckiego — najwyższej godności w Państwie — Zarząd miejski nadał Zakładowi filtrów pośpiesznych imię Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej — Ignacego Mościckiego. Zakład zaopatrzony jest w 12 elektropomp odśrodkowych do przetłaczania wody w rozmaitych fazach oczyszczania, oraz elektryczną dmuchawę do przeczyszczania złóż filtrowych i cały szereg innych maszyn, które w sumie stanowią jedno z najnowocześniejszych urządzeń w Europie. Zewnętrznie i wewnętrznie hala filtrów przedstawia się imponująco — uderza czystością.

Poza 16 filtrami pośpiesznymi istnieje 36 powolnych. Zakład filtrów pośpiesznych służy do wstępnego filtrowania, zastępuje w najskuteczniejszy sposób osadniki ostateczne i zmniejsza ilość oczyszczań filtrów powolnych niemal 10-krotnie.

Łączny zapas wody czystej stanowi 60.000 metr. sześć.

6 pomp elektrycznych i 3 parowe czerpie i przetłacza wodę przez wieżę ciśnień do sieci miejskiej.

Do kontroli oczyszczania wody od początku powstania wodociągów zostało powołane laboratorjum badawcze stacji filtrów. Praca jego o charakterze fizyko-chemiko-biologicznym została znacznie poszerzona, a laboratorjum zaopatrzone we wszelkie najnowsze przyrządy i urządzenia.

Przy stacji pomp rzecznych mieści się Muzeum Wodociągów i Kanalizacji, które zgromadziło liczny zbiór starych urządzeń wodociągowo-kanalizacyjnych, oraz używanych i najnowszych ich wzorów. Muzeum to weszło w skład Muzeum Przemysłu i Techniki.

Jak długo trwa proces oczyszczenia wody? Zadaję takie pytanie nader uprzejmemu przewodnikowi, Panu Naczelnikowi Filtrów. Okazuje się, że koło 50 godzin upływa od momentu ujęcia wody z Wisły do chwili dodostarczenia jej z sieci. Tak więc „kąpiel" wody w piasku, żwirze i kamieniach, aby była doskonałą, wymaga czasu.

A jaka jest przeciętna konsumpcja wody?

Warszawa zużywa obecnie koło 100 miljonów litrów wody dziennie. Dnia 26 maja br. święciliśmy swego rodzaju jubileusz: stolica pochłonęła 132 miljony 900 tysięcy litrów wody, co stanowi rekord, od czasów powstania zakładu filtrów. Na mieszkańca wypadło tego dnia przeszło 100 l. wody. — Warto wspomnieć, celem porównania, że w r 1886 zużycie dzienne wody na mieszkańca wynosiło ok. 30 l. wody. Postęp, jak widzimy znaczny, choć daleki jeszcze od



Hala pomp w Zakładzie Filtrów Pośpiesznych.

przeciętnej ilości wody, zużywanej przez mieszkańców zagranicą: Berlin konsumuje ok. 137 litrów, Paryż ok. 370 litrów, Rzym ok. 544 litrów, Londyn 482 l. wody na mieszkańca i dobę. Nie mówię już o Ameryce, gdzie cyfry wyglądają dla nas zawrotnie:

800 litrów, nierzadko 1000 litrów na mieszkańca, w ciągu jednej doby!...

W jakich okresach zużycie wody wykazuje największe nasilenie?

Jest ono uzależnione od 3 czynników: 1) pory roku, 2) dnia w tygodniu i godzin dnia. Otóż najwięcej wody Warszawa zużywa w maju, czerwcu i wrześniu. Miesiące letnie wykazują spadek, wywołany masowemi wyjazdami na wakacje i urlopy.

A dzień w tygodniu? — Piątek!

Wreszcie godziny:

Największe spożycie przypada w godzinach porannych, potem słabnie, by nabrać mocy koło południa.

A jakie są opłaty za wodę?

67 groszy od 1 m³ wody z używalnością kanałów i 44 grosze od 1 m³ wody, bez używalności kanałów miejskich. Opłaty te mogą wydawać się za wysokiemi, lecz należy uwzględnić staranność oczyszczenia wody i związane z tem kolosalne wydatki. Dość powiedzieć, że budowa filtrów pośpiesznych kosztowała ok. 12 miljonów zł.

Jakie są ostatnie inwestycje.

Poza ciągłemi technicznemi, związanemi z rozwojem sieci, w zeszłym, jubileuszowym roku Dyrekcja Wodociągów i Kanalizacji pragnąc udostępnić czystą wodę do picia wszystkim obywatelom stolicy, uruchomiła w szeregu miejsc pijalnie wody, które cieszą się szczególnem powodzeniem, obecnie w porze upałów. Pijalnie te zainstalowano w parkach i na placach dla publicznego użytku.

Warszawska woda — to zdrowie!

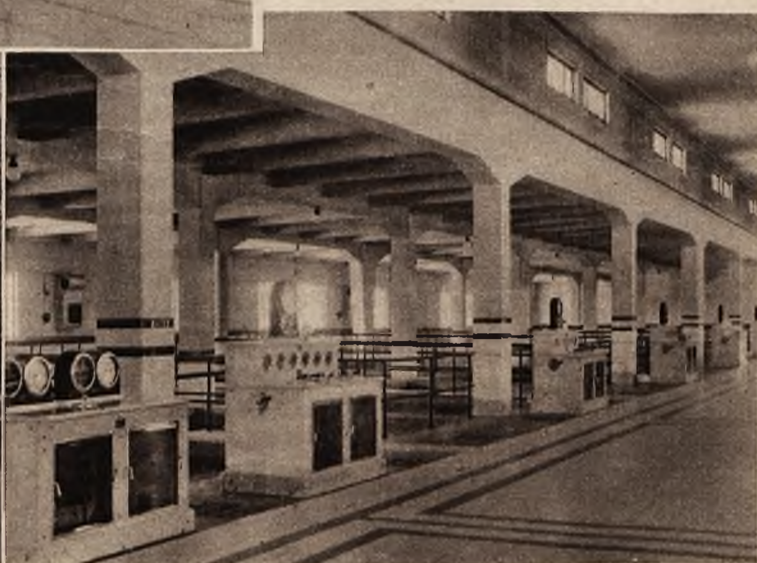
K. Dienstl-Kaczyńska.

Poniżej: Gmach Dyrekcji Wodociągów i Kanalizacji przy ulicy Starynkiewicza.





Hala filtrów powolnych.



Hala filtrów pośpiesznych.

POMYSŁ DOKTORA ROBERTSONA

ARTUR CZAJCZYŃSKI

S Z K I C

Szare auto zatrzymało się na wysypanym żółtym piaskiem niewielkim placu przed ponurym gmachem zakładu psychiatrycznego. Wysiedli z niego trzej mężczyźni. Jeden ź nich był Johnem Mertinem, podającym się za Toma Conderville'a, sławnego badacza gwiazd. Pielęgniarz, który przetransportował Mertina, nacisnął na umieszczony w drzwiach guzik dzwonka elektrycznego. Niebawem drzwi otworzono. Trzej mężczyźni znaleźli się w głębi długiego korytarza gmachu i skierowali się w stronę gabinetu kierownika tego zakładu, doktora Reginalda Robertsona.

— Oto pacjent John Mertin — zameldował starszy pielęgniarz doktorowi Robertsonowi, który był starszym łysym mężczyzną o łagodnej twarzy.

— Aaa, dobrze... Gdzież to pan podziewał się przez tak długi czas panie Mertin? — zapytał pacjenta doktor Robertson.

Mertin wlepił wzrok w twarz lekarza i odparł:

— Gdzie byłem?... Byłem w wielu miejscowościach, w których głosiłem słowa prawdy. Przygotowywałem biedną ludność na śmierć, którą niechybnie będą musieli ponieść z chwilą, gdy skończy się świat, gdy słońce wydające swe ostatnie zapasy gorąca, wyrzuci z siebie swym końcem tak silne promienie, że wszystko obróci się w pył, gdy kula ziemska pod wpływem tego żaru pęknie i rozsypie się! — odparł John Mertin.

— Czy zdaniem pana nastąpi to rychło?

— Rychło?... Obliczyłem, że za sześć dni!

— Panie Mertin, przecież pan już od roku przepowiada, że za sześć dni świat się skończy. Ileż to już takich sześciodniowych okresów minęło?...

— Panie doktorze Robertson! Pan mnie nie rozumie... wy wszyscy tu mnie nie rozumiecie. W waszych oczach jestem warjatem.. Pan, panie Robertson i pańscy ludzie zamęczacie mnie... przeszkadzacie mi w moich badaniach. Tylko wy panowie jesteście winnymi, że dotąd nie udało mi się odkryć drugiego księżyca, który zbliża się ku naszej kuli ziemskiej — mówił pacjent rozżalonym głosem.

— Kochany panie Mertin, zgadzam się z panem, że pana nie rozumiem. Co do przeszkadzania panu w pracy, to może być pan spokojny, że nikt panu nie będzie robił trudności. A teraz proszę się udać do swej pracowni — odparł doktór Robertson, składając w stronę Mertina uprzejmy ukłon.

Jeden z pielęgniarzy położył delikatnie rękę na ramieniu Mertina i wyprowadził go z gabinetu.

Doktor Reginald Robertson pozostał z starszym pielęgniarzem.

— Ujęto go w pewnej miejscowości, w której przepowiadał koniec świata. Towarzyszem jego był Jim Harding, znany policji oszust, który wykorzystując jego oratorskie zdolności, obwoził go po wsiach i miasteczkach, reklamujące jako badacza gwiazd Toma Conderville'a. Od przestraszonej zapowiedzią końca świata ludności wyłudzał Harding za pośrednictwem Mertina pieniądze — wyjaśniał pielęgniarz Robertsonowi.

— A więc zgadza się jednak to, o czem donosiły gazety... Hm.... w każdym razie jest to nieprzyjemna historja. Zagadką jest, w jaki sposób John Mertin uciekł krytycznego wieczoru z naszego zakładu? — mówił doktor Robertson.

— Nie jest wykluczone, że pomógł mu w tem Jim Harding, tak przynajmniej twierdził jeden z funkcjonarjuszy policyjnych.

— W każdym razie proszę odtąd mieć Mertina na oku.

Pielęgniarz opuścił doktora Robertsona, udając się wprost do celi Johna Mertina, tej samej, którą ten przedtem zajmował. Mertin siedział nieruchomo na krześle. Na widok pielęgniarza ożywił się.

— Gdzie podzieliście moją lunetę do badania gwiazd?... — Jeśli jej nie dostanę to w ciągu pięciu minut, to będzie źle!

— Pańska luneta.. ach tak... Zaraz ją przyniosę. Niech się pan nie obawia, zachowaliśmy ją starannie — odparł pielęgniarz i wyszedł z celi, aby za chwilę powrócić z tekturową rurą długości dwóch metrów, a średnicy dwudziestu centymetrów. Rurę tę wręczył Mertinowi. „Badacz gwiazd" z miną zadowoloną oparł ją o krawędź stojącego w pobliżu okna łóżka i zwrócił się do pielęgniarza:

— Przystępuję do dalszych badań ciał niebieskich... proszę mnie teraz zostawić samego.

— — — — — — —

Pacjent John Mertin od kilku dni był ponury i nie chciał przyjmować pokarmów. Na zapytanie doktora Robertsona odparł:

— Od wielu dni daremnie szukam drugiego księżyca, który według moich obliczeń powinien się zbliżyć do ziemi. Naprawdę można zwarjować przy tej pracy! Wiem, że drugi księżyc jest tuż blisko przy ziemi, a ja nie mogę go moją lunetą dostrzec. Ja muszę go zobaczyć!... Muszę!... Na odkrycie to czeka cały świat cywilizowany... Muszę być pierwszym, który odkryje ten właśnie księżyc. Wtedy dopiero odzyskam spokój i równowagę. Inaczej sam siebie skażę na głodową śmierć. Tak postanowiłem, panie doktorze!

Daremne były wysiłki doktora Robertsona, aby pacjenta odwieść od tego postanowienia.

Następnego dnia wieczorem doktór Robertson rozmawiał w swym gabinecie z drugim lekarzem Williamem Wisstonem i starszym pielęgniarzem.

— Nie ma innej rady, będzie trzeba tak zrobić, jak pomyślałem. Może uda się nam w ten sposób podejść tego nieszczęśliwca i spełnić jego marzenie — mówił doktor Robertson.

— Uważam, że ta pomysłowa próba powinna mieć szanse powodzenia — odparł doktor Wisston.

— A więc proszę wszystko przygotować! — rozkazał doktór Robertson pielęgniarzowi.

— — — — — — —

Tej nocy pacjent Mertin siedział w swej celi i obserwował przez wysuniętą z otwartego okna tekturową rurą niebo. Nagle drgnął, serce zabiło mu mocniej... Czyżby się mylił?... Nie, nie... naprawdę nie! To, co przez „lunetę" teraz zobaczył, podziałało na niego piorunująco... Oto dojrzał wielką złocistą kulę, w otoczeniu oślepiającego promienia.

— Hura... odkryłem... tak, odkryłem.. drugi księżyc.... dokonałem swego dzieła!!! — wołał głośno Mertin, skacząc z radości po celi.

Następnie rzucił się do drzwi i zaczął w nie bić pięściami.

Gdy otworzono drzwi celi, zastano Mertina leżącego nieruchomo na posadzce. Był nieprzytomny. Przeniesiono go do gabinetu doktora Robertsona. Dwaj lekarze zaczęli się krzątać koło ułożonego na tapczanie nieszczęśliwca.

Rankiem następnego dnia doktor Robertson ogłosił:

— Pacjent John Mertin jest uleczony i wróci wkrótce do domu, pomiędzy zdrowych ludzi!

— — — — — — —

— I pomyśleć, że zwykły lampion koloru pomarańczowego z zapaloną w środku gruszką przyczynił się do uzdrowienia nieszczęsnego Mertina. Umocowaliśmy go na sznurku przy gałęzi drzewa, stojącego naprzeciw okna celi Mertina. Z za drzewa oświetliliśmy lampion ten promieniem zwykłej karbitowej lampy, jaką używają rowerzyści. Mertin ujrzawszy nocą przez swą „lunetę" promieniejącą kulę, wziął ją za „drugi księżyc", o którego odkryciu tak marzył. Widok „drugiego księżyca" podziałał na niego tak mocno, że Mertin ze wzruszenia popadł w dziwne odrętwienie, a po przebudzeniu okazało się, że jest on zupełnie zdrów. Pomysł stworzenia „drugiego księżyca", wyobrażonego przez ów lampion, to dzieło naszego kochanego kierownika, doktora Reginalda Robertsona! — skończył swe opowiadanie doktor William Wisston, którego słuchało grono kolegów.

Dokończenie ze str. 8-ej

datkowo kilkakrotnie w ciągu wieczoru po krętych schodkach z garderoby na scenę i spowrotem. Początkowo czynili to koledzy z ogromnym entuzjazmem, po tygodniu poczęli się jawnie buntować. Sama już nie wiem, co mnie bardziej bolało, czy noga, czy ta niewdzięczność kolegów — kończy p. Zofja na wesołe swe „bolesne" wspomnienia.

— Zaczynamy!! — słychać na korytarzu głos inspicjenta.

Ostatnie spojrzenie w lustro. Piękne dziewczę Teresa idzie na swój posterunek za kulisami.

Za chwilę głos zabierze publiczność.

Zofja Ordyńska.

W CIENIU CHIMER KATEDRY NOTRE DAME
Fot. dr. P. Wolff (Schostal).



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

»HAPPY-END«

Piosenka i slow-fox z repertuaru Janiny Romanówny

Słowa:
IRENA DEHNELÓWNA

Muzyka:
ADAM LENCZOWSKI

Lento. (a piacere)

p rall.

Mod^to^ (senza rigore)

O wpół do ós-mej co dzień na ro-gu mnie

p a tempo

cze-kał przy ki-osku z gaze - ta - mi, o-bok kwieciarni stał. — Gdy tyl-ko sklep zamknięto, biegłam, widząc z da-

le-ka, że się do mnie u-śmie-cha... jak on ślicznie się śmiał... — a po-tem szliśmy do ki-na. On wolał film we-

mf

so - ły, al-bo dzi-ki szu-lo-ny, pełen nie-zwykłych scen, — a ja znów tyl-ko tu - ki, gdzie

f accel. cresc. p Tempo I^o^

by-li „on" i „o-na" i że-by się ko-cha-li, że-by był happy-end! — A kie-dy film był smutny, kiedy przyszło roz-

mf p

sta-nie, zawsze łzy miałam w o-czach i od-wra-ca-łam twarz — i mó-wi-łam ci-chut-ko: daj m.

chustkę, ko-cha-nie, on po-da-jąc szepnął ze złością: masz!

mf — f

Tempo di Slow-fox.

To nie jest łza. Tak ci się coś zda-

con rigore del tempo.

wa-ło, ... zapewniam cię, że to nie by-ły łzy, — czemu miałabym pła-kać... przecież się nic nie

8va

sta-ło... tyl-ko tu ta-ki...kurz, ... nie patrz tak, nie bądź zły. Przecież mam tusz na rzęsach, tusz by się mógł roz-

pły-nąć... gdybym za-czę-ła płakać... o widzisz, śmieję się. Przecież to nie jest prawda, to tylko film, to

8va rall.

ki-no, wnet bę-dzie happy-end, o już skończy-ło się! To nie jest

1^a^ 2^a^ się!

molto rall.

ARTUR GROTTGER

WSPOMNIENIE — F. M. AREN



PRZEŁOŻYŁ
WITOLD RYBCZYŃSKI

Bo w świecie ducha —
niema pożegnania.

7-my ODCINEK.

Bądź zdrowa, droga Przyjaciółko. Mam nadzieję, że nie na długo Cię żegnam, a chociaż listownie trudno to uczynić, jednak całuję tę małą białą rączkę!

Arthur Grottger.

Wiedeń, 4/6 1862,
środa rano.

VIII.

Upłynęły dwa lata. Byłam nietylko nad Tamizą, lecz również nad Sekwaną i nad Tybrem. Widziałam Londyn, Paryż i Rzym; lecz ostatnie dni karnawału zaprowadziły mię do Wiednia, a tłusty czwartek zastał mię w salach Reduty... w czarnem domino. Jak się tam znalazłam? Czego szukałam? Czego chciałam? Zaledwie mogę sobie z tego zdać sprawę. Zachęcona przez wielu znajomych, pozwoliłam się zaprowadzić z maską na twarzy. Zmieszałam się z tłumem. Poznano mię natychmiast, ponieważ nie umiałam się maskować, a słowo „ty" nie mogło mi przejść przez usta. Nie znalazłam przyjemności w całym tym rozgwarze; dziwaczną zdała mi się wysoka czarna postać w powłóczystej szacie, z ozdobą w kształcie wieży z kwiatów i piór na głowie, z ogromnym fontaziem, postać patrząca na mnie z każdego zwierciadła poprzez czarną jedwabną nieprzyjemną maskę. I to miałam być ja? Wiele już osób mówiło ze mną, a jednak nie bawiłam się wcale. Nagle pozostawiłam moją towarzyszkę na lodzie i rzuciłam się w pewnym kierunku. Spostrzegłam Artura Grottgera. Był daleko ode mnie i szedł schodami ponad orkiestrą do bufetu na pierwszem piętrze. Zdawało się, że i on czegoś, a raczej kogoś szuka. Skierował się na lewo ku galerji. Nie mogłam go odrazu dopędzić — tyle osób nas dzieliło. Wkońcu, gdy zwolnił kroku z powodu tłoczących się naprzeciw par, zbliżyłam się — już bez tchu prawie — o tyle, że mogłam go uderzyć po ramieniu. Odwrócił się. Przenikliwe spojrzenie utkwiło w mej masce i całej postaci. Nie mogłam wymówić słowa, raz z powodu zmęczenia — tak szybko biegłam — a powtóre nie wiedziałam, jak zacząć rozmowę. „Pan" brzmiało zbyt obco; „Artur", tak go jeszcze nigdy nie nazywałam. A więc jak miałam do niego przemówić? Przez „ty" nie mogłam, przez „pan" nie chciałam. Instyktownie rozłożyłam ręce, wytrzymując spojrzenie i nawzajem patrząc na niego, gdy w tem zabrzmiało w mem uchu. „Ach! te oczy, te oczy — Panna Karilina! Kibić mogła mię oszukać — tak smukle Pani urosła, ale oczy, oczy nigdy". I już chwycił mnie za ręce i ucałował — już ramię jego ujęło moje.

Właśnie wyszliśmy z tłumu na korytarz, łączący galerje, i musiałam się zatrzymać w kręgu światła gazowego świecznika.

— Pozwól, niech ci się przypatrzę. Boże, jaki ja jestem szczęśliwy! Ale ta szkaradna maska. Po tak długim czasie, i nawet to twarzy nie odkryje! Ta buzia kochana — zazdrosne koronki nie zasłaniają jej całkowicie — a te oczy, to przecież niejaka pociecha. Kto z takiemi oczkami chodzi na maskarady? Poznają cię wśród tysiąca innych.

W tym tonie mówił dalej i, tysiące pytań zadając, nie dawał mi przyjść do słowa. Zaledwie usiedliśmy w owym korytarzu na pierwszem piętrze, by porozmawiać swobodnie, gdy stanęła przed nami wysoka, smukła postać pewnego naprawdę idealnie pięknego młodzieńca, trzymająca w ręku zegarek.

— Już północ, droga maseczko, wybiła moja godzina.

— Jeszcze pół godziny — prosiłam.

Lekki rumieniec pokrył piękną twarz barona.

— Już dwie godziny zbywasz mię obietnicami — rzekł drżącym głosem — ale skoro rozkazujesz, słucham.

Był to pewien arystokrata, który oto znalazł się pomiędzy mną a Grottgerem; lecz czyż mogłam przypuszczać, że tego ostatniego tu spotkam? Czyż mogłam puścić z kwitkiem tamtego, który bez przerwy snuł się za mną i ciągle mię oczekiwał? Musieliśmy więc zrezygnować z dalszej rozmowy i umówić się, gdzie się spotkać mamy. A więc: w tem samem miejscu za dwie godziny, gdyż młody baron, który niebawem powrócił, miał także pewne prawa (był jednym z moich stałych danserów ubiegłego sezonu) i zapowiedział, że po tak długiem oczekiwaniu nie zwolni mię przed upływem dwóch godzin.

Właściwie dla mnie zabawa się skończyła, mimo, że baron był nietylko pięknym, ale i romantycznym towarzyszem: Romeo, Toggenburg z lekką przymieszką Otella w jednej osobie. On także popadł w silne zdenerwowanie, która to skłonność w przyszłości w silnym stopniu rozwinąć się miała. W owym czasie był już niemniej znaną osobistością w stolicy, co młody malarz, a to dzięki swemu pióru i trzechletniej podróży naokoło świata.

Gdy zbliżała się godzina, którą przyrzekłam Grottgerowi, nie było mowy o rozstaniu, gdyż baron chciał sobie powetować długie wyczekiwanie. To też, skoro zorjentowałam się, że tu przecież nie mogę czekać na zaciszną schadzkę, którejby nikt nie przeszkadzał, postanowiłam ulec pozornie zachceniu tego rozkapryszonego światowego dziecka, jednak bez odszkodowania dla Grottgera i dla siebie samej.

— Jak pan widzi, drogi przyjacielu — rzekłam do niego, gdyśmy na chwilę pozostali sami — ponieważ nie możemy rozmawiać, jakbyśmy pragnęli, opuszczam redutę i przyjdę tu jeszcze raz we wtorek. Wprawdzie nie miałam tego zamiaru, gdyż w Popielec muszę z Wiednia wyjechać, lecz przyjdę na pewno, tylko dla Pana, a wówczas powiemy sobie wszystko, co nam leży na sercu. Ale na dziś... dobranoc.

Grottger na zgodę pocałował mię w rękę, a baron niemało się zdumiał, dowiedziawszy się, że zamierzam już odejść.

— Ale przecież przyjdziesz we wtorek znowu — pocieszał się odprowadzając mię do wyjścia.

— Bardzo wątpię — odrzekłam, gdyż za mało przejęłam się maskaradą, by kłamać bez zająknienia — odjeżdżam.

— Ale chyba nie przed Popielcem. Dowiem się, a skoro przyjdziesz, potrafię cię znaleźć.

Z radością wymknęłam się; a we wtorek byłam już jako różowa zjawa, raczej domino, u boku Grottgera. Całą noc gwarzyliśmy bez szkody, raz w jednej, raz w drugiej sali, to pozwalając przewalać się obok nas zgiełkliwym maskom, to znów szukając zacisznych kątów w bocznych korytarzach, przyczem opowiadaliśmy sobie o wszystkich przejściach i wrażeniach, jakie się

w nas w ciągu ostatnich dwóch lat nagromadziły. Były to sny i przeżycia, refleksje i opowieści. Nie byłam już naiwnem dzieckiem, ale i on przestał być owym marzycielem, wahającym się pomiędzy kredką a pędzlem. Rozstrzygnął już. Jego „Warszawa“. „Polonia“ i „Lituanja“ [1]), porywające dramaty, nacechowały swego twórcę odrębną indywidualnością i wyryły na wieki imię jego na karcie dziejów współczesnej sztuki i w sercu jego ojczyzny. Wszystko, co tworzył, tworzył pod wpływem najgłębszego uczucia, które przenikało całą jego istotę. Sztuka nie była dla niego rzemiosłem, codziennym chlebem, ani też środkiem utrzymania, czemś, co wypracowuje się z mozołem i wymędrkowuje; wprawdzie jego ręka była technicznie wykształcona aż do doskonałości, tworzył jedynie... duch jego. Podobnie jak poeta nie myśli o słowach, zapomocą których tworzy, natomiast treść ich głęboko w sercu odczuwa — tak Grottger nie zastanawiał się nad kreskami węglem (?), bowiem wszystko, co go wzruszało, oblekało się dlań w widome kształty. Zresztą był nietylko synem swojej ojczyzny, ale i dzieckiem swego czasu. Nie Rzym go pociągał, lecz Paryż. „Rzym — mówił — tam rządzi klasycyzm, system, szkoła, koloryt, antyczność — to wszystko nie dla mnie. Życie, ruch, dusza... oto mój żywioł; muszę się czuć wolnym od więzów i norm, monumentalność mi nie odpowiada. Studjuję ją chętnie i uznaję jej zasługi wszędzie, gdzie ona się zjawi, króluje piękno, lecz Francja jest mi bliższą, niż Włochy“.

Były to przygodne rzuty myśli, syntetyczne rozprawy o sztuce nie odpowiadały nam, i — o ile mogłam zauważyć — nie były w jego guście. Ta iskra była mu zbyt świętą, by jej używał jako materjału do błyskotliwej rozmowy. Żądał od życia należnej mu części i wchodził jako zwykły śmiertelnik w zewnętrzny rozgwar tego świata, by zbierać zeń, niby motyl czy pszczoła, a potem w świętej ciszy przerabiać, oczyszczać, filtrować i spożytkować dla sztuki.

Lecz nawet najdłuższa noc redutowa skończyć sie musi, a nadomiar młody baron odszukał mię wreszcie. Wprawdzie poświeciłam mu niewiele czasu, lecz przestałam czuć się bezpieczną i, by go pocieszyć, pozostawiłam mu mój duży bukiet z różowych hiacyntów, z którego Grottger już był zerwał kilka kwiatów.

Było to już około piątej rano, a ponieważ o siódmej miałam odjeżdżać, musieliśmy się rozstać. Baron czekał u drzwi wejściowych, ale „daremny miły trud“, nie byłam już wolną.

Oto jedna z przyczyn, dlaczego między mną a Grottgerem nie przyszło do serdecznego, bezgranicznego, zupełnie otwartego zwierzenia, jakie mu właściwie byłam dłużną, co było naturalnem pragnieniem dusz naszych.

Błądziliśmy nad ranem tu i tam i, nie mając siły rozstać się, darowywaliśmy sobie to kwadrans, to minutę. Jeszcze ciągle odczuwaliśmy, że coś nam leży na sercu, że coś ciąży na duszach naszych, a jakaś zasłona przysłania nasze ku sobie spojrzenia. Tak wiele mówiliśmy o wszystkiem, o całym świecie, o rzeczach potocznych, które nas chwilowo zajmowały, a o tem jednem jedynem, o tem, co dla nas obojga mogło stać się objawieniem, zbawczą zmianą całego życia — o tem milczeliśmy. On był zbyt subtelny, a ja lękałam się, by słowami nie skalać tak głębokiego uczucia. I tak krążyło wśród nas i wibrowało dokoła coś niedopowiedzianego, coś, co odczuwaliśmy oboje wyjawić niezdolni... i do wyjaśnień nie doszło.

„Będziemy do siebie pisywali“, oto cały wynik długiego odwlekania chwili rozłąki.

Wkońcu wskazówka zegara postawiła ultimatum. Musieliśmy podać sobie ręce. Uczyniliśmy to z ciężkiem sercem; odjeżdżałam przecież. Czy zobaczymy się jeszcze i kiedy?

— Ach i ta szkaradna maska! — biadał — gdybym mógł ją choć na chwilę uczynić niewidoczną; widziałem Panią, a właściwie nie widziałem. Każde szczęście na tym świecie jest połowiczne.

— Ale przecież zobaczymy się znowu i to może prędzej, niż myślimy. Miejmy nadzieję — ufajmy.

Temi słowy pożegnałam go szybko, by nie zanadto dać się owładnąć wzruszeniu.

A jednak — i on nie mógł w głębi swego serca opanować tęsknoty, drżącej wśród wierszy listu, który otrzymałam niedługo po przybyciu do pewnego wiejskiego pustkowia:

Wiedeń, 28. II. 1864.

Zazwyczaj najpóźniej wypełnia się to, czego najgoręcej pragniemy i co nas najbardziej raduje; tak też było i ze mną.

Z największą niecierpliwością oczekiwałem chwili, w której, wolny od codziennych zajęć, będę mógł usadowić się w zacisznym kąciku i przynajmniej w myśli przysiąść się do mojej kochanej, do mojej drogiej przyjaciółki... Lecz dopiero dzisiaj, po wieloletnich nieustannych usiłowaniach nadarzyła mi się ta wolna chhwilka.

Oto siedzę całkiem samotny w mojem skromnem atelier przy mojem kochanem biurku. Nikogo, jeno kilka obrazów, trochę książek i śliczna Wenus milońska — jako towarzysze. Twoja fotografja stoi przede mną i patrzy ku mnie ze swych ram tak przyjaźnie, tak mile, że od czasu do czasu mimowoli spoglądać na nią muszę i od czasu do czasu wzdycham...

Tak, Droga Przyjaciółko, czasami wzdycham. Dlaczego? Sam nie wiem, choć tak często o to siebie pytam. Nie wiem dlaczego, bo, o ile sobie przypominam, i w twej obecności wzdychałem, ba, nawet wśród najżywszej i najweselszej rozmowy. Czy z tęsknoty? Czy może ze zmartwienia? Na to nic nie odpowiadam, gdyż właśnie temu zaprzeczyć nie mogę. Tak często wzdycham, moja droga Przyjaciółko, tak często ściska mi się serce z boleści, ale dlaczego, nie wiem. Boleję nad czemś w przeszłości, boli mię coś, co jest, i biadam nad tem, co będzie; i wszystko mię gnębi, wszystko, wszystko...

I w tej chwili jestem smutny, a głębokie cierpienie ogarnia mą duszę.

Może boli mię moje własne serce, które czasem tak bardzo bije w mej piersi, lub te miljony myśli i uczuć, co to serce wzruszają, ranią i rozdzierają, by potem runąć w otchłań zapomnienia. Może bolą mię wszystkie sny i pragnienia, które sam sobie stwarzam, które nie spełnią się nigdy, których zachować ani utrwalić nie mogę, a które zaledwie powstaną i pokryją się kwieciem, wnet więdną i giną.

Może sprawia mi ból pewne serce, czyste, śliczne, złote serduszko, które nie mojem jest, ale Twojem? I tu, zaprawdę, nie mówię: „nie wiem“. Wiem! To jest, dlaczego cierpię.

— — — — — — — —

Jakże drogim, jak kochanym pozostał dla mnie ostatni wieczór naszego spotkania. Często i długo o nim myślę — o tym drugim wieczorze więcej, niż o pierwszym. Może dlatego, że nasze spotkanie na wtorkowej reducie miało być na długi czas ostatniem. Naprawdę, tak już jest w życiu, że dłużej myślimy o tem, co nas boleśnie dotyka, niż o wszystkich chwilach szczęścia i rozkoszy. Te toną w morzu niepamięci; a tylko to, co nas bolało, stoi przed duszą naszą — o tem pamiętam zawsze... wiecznie.

Kto wie, może to dzieje się w tym celu, by rozkosz bardziej nas upajać mogła, a boleść stawała się tem łatwiejszą do zniesienia, im mniej nam jest obcą.

Tak więc wtorek bliższym jest mej pamięci i bliższym sercu memu...

Nazywam ów wieczór „kochanym“, gdyż weseliłem się z nim, przeżyłem go i odczułem głęboko, całą duszą. Tak potężnie wchłaniałem to słodkie tchnienie istnienia, jak skazaniec ostatnie minuty swojego życia. Darowano mu jeszcze te chwile, w których zamyka Boga, siebie samego, wszystko, co dlań najświętsze, najdroższe, najpotężniejsze, cały świat, by się o nim raz jeszcze upewnić, zatrzymać go i zabrać ze sobą na wieczność! Czyż ta chwila nie jest wielką w jego całem cierpieniu oraz tem ostatniem, najostatniejszem, ogromnem rozpłomienieniu szczęścia i gasnącego życia?

I mnie, mnie także zdał się Twój odjazd rozstaniem się z życiem. Po tej rozłące cóż mi pozostało? Nic, prócz wątłej nadziei przelotnego wspomnienia. Czem bowiem są listy, jak nie przemijającem wspominaniem, że się żyje, a nie umarło? A jakże inne jest uczucie, gdy się jest naprawdę osobiście u boku ukochanej przyjaciółki.

Ach, nam pozostały tylko listy!

Gdy po reducie wyszedłem na ulicę, była piąta, dwie godziny przed Pani odjazdem. Zadumany wracałem do domu, gdy nagle wpadła mi myśl, by zamiast do siebie, udać się na „dworzec zachodni“ i tam czekać do siódmej godziny.

Jak pomyślałem, tak zrobiłem!

Wesoło zbliżałem się do dworca w nadziei, że wkrótce Panią zobaczę — chociaż na krótko, ale przynajmniej bez maski — z odsłoniętą twarzyczką, bez zacienionych ocząt, gdy wtem uderzyło mi do głowy: ale jak, jeśli natkniesz się tam także na młodego wysokiego barona z bukietem w ręku i z łezką w oku?

Coprawda, nie zdziwiłbym się tem wcale, lecz przykro by mi było wprowadzać moją drogą przyjaciółkę w tak kłopotliwe położenie.

Nie poszedłem więc, gdyż byłem przekonany, że spotkam tam barona. Jakże niemiłym dla Pani byłby widok nas obu, nadchodzących równocześnie — jeden ni drugi niewołany ani nieproszony — przeniknętych jedynem życzeniem: raz jeszcze ujrzeć pannę Karolinę.

(Dokończenie nastąpi).

[1]) „Lituanję“ ukończył Grottger w dwa lata później w r. 1866 p. (l.

„WENUS Z ŚPIĄCYM AMOREM“

Obraz Antonia da Correggio (1494—1534), znajdujący



PORANNA GIMNASTYKA
Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XI.

Czem jest właściwie gimnastyka? Jest fizycznem wychowaniem, zmierzającem do spotęgowania zasobów siły i zdrowia, do ożywienia urody i pośrednio do skoncentrowania dodatnich stron naszego charakteru. Aby jednak osiągnąć wszystkie te pierwszorzędne korzyści trzeba nad sobą pracować.

Gimnastyka oddechu odgrywa w ćwiczeniach pierwszorzędną i zasadniczą rolę. — Gimnastyka oddechu, to poprostu prawidłowe ćwiczenie przepony brzusznej, czyli skierowanie czynności oddechowej na właściwe tory. Oddychajmy zatem naturalnie, jak nam dyktuje nasz organizm, za pomocą przepony. Ćwiczenie zaczynamy od położenia się na wznak i ułożenia jakiegoś ciężaru na jamie brzusznej poniżej klatki piersiowej, aby czynność oddychania podlegała dokładniejszej kontroli. Najlepiej służą do tego celu książki.



Pierwsze ćwiczenie ma za zadanie przyzwyczajenie nas do prawidłowego oddychania.

Teraz wyobraźmy sobie, że nasze ciało jest balonem, wymagającym jak najdokładniejszego wypełnienia powietrzem. Wiadomo, że wypompowany balon jest bezużyteczny. Zginamy nogi, jak to przedstawia ilustracja, aby ułatwić sobie pozycję leżącą i nie wytężać muskułów brzusznych wyprężeniem nóg. Wdychamy pełną piersią, naprężając przeponę, przyczem wznosimy książki w górę. Grzbiet przylega ściśle do podłogi. Przy wydechiwaniu wciągamy brzuch.

Kontrolujemy dokładnie czas wdechu i wydechu, napełniając powietrzem płuca, zwracając przytem uwagę na pauzę oddechową. Oddychanie musi mieć przepisany rytm, ustalany uczuciem wytrzymałości. — Opanowując sztukę prawidłowego oddychania, zrozumiemy, jak ważnym motorem siły i energji jest racjonalne zaczerpnięcie powietrza.

Teraz spróbujmy oddychać bez zwracania uwagi na przeponę, bez przepisanego poprzednio gimnastyką szablonu. Lecz i ta sztuka wymaga ćwiczenia. Przepona brzuszna jest już wytrenowana. Stajemy swobodnie, wysuwając jedną nogę jak gdyby do uczynienia kroku, wyprężamy ramiona na boki i wyginamy wahadłowym, szybkim ruchem ciało do pasa wraz z wyprężonemi ramionami w bok i ku tyłowi. Szybka zmiana pozycji górnej części tułowia pobudza nas do spotęgowania tempa oddechu. Nie wstrzymujmy się jednak od wdychania i wydechiwania powietrza, lecz pilnie wchłaniajmy i wydychajmy je w takt wykonywanych ruchów. Wydech ma być silny i energiczny, cała czynność oddychania skoncentrowana.

Ćwiczenie to jest pożyteczne w pierwszym rzędzie dla śpiewaczek i aktorek, ponieważ ćwiczenie tempa oddechu służy do ustawienia głosu.



Ruchy rąk ułatwiają przepisowy wdech i wydech. (Ćwiczenie drugie).

GIMNASTYKA PRZECIWDZIAŁA ROZSZERZANIU SIĘ ŻYŁ

Leczenie żylaków — bardzo przykrej a tak rozpowszechnionej choroby — polega głównie na najskuteczniejszem łagodzeniu jej objawów. Ogólne hartowanie skóry daje często doskonałe rezultaty. Wskazaną jest również gimnastyka całego ciała, uwzględniająca specjalnie mięśnie nóg i brzucha. Przedewszystkiem jednak stosuje się elastyczne opaski, lub pończochy gumowe.

W wypadkach silnie rozwiniętych żylaków stosuje się najczęściej leczenie injekcjami przez wstrzykiwanie do żył 60%-go roztworu cukru gronowego. Preparat ten powoduje kurczenie i niejako „sklejanie" rozszerzonych żył

Poza tem stosowane jest obecnie dość często wycinanie żylaków, jest to już jednak poważny zabieg chirurgiczny. Rzecz jasna, że terapja uwzględnia nietylko skutki, ale i przyczyny choroby, starając się zwalczać zło u jego źródła.

Żylaki, czyli rozszerzenie żył, są cierpieniem, spotykanem nader często i powodują one niejednokrotnie silne dolegliwości. — Przeważnie występują żylaki na dolnych kończynach, tworząc się wskutek mechanicznego wpływu zwiększonego ciśnienia krwi, na ściany żylne i utrudnionego obiegu krwi, a więc u osób pozostających przez dłuższy czas nieruchomo w jednej pozycji.

Według statystyki, na rozszerzenie żył najczęściej cierpią kobiety. Często stwierdza się żylaki u osób, wykonujących mało ruchliwą pracę zawodową.

U człowieka w pozycji stojącej tętniąca w żyłach krew napotyka w swym obiegu na duży opór, nie wspomagana ruchami mięśni. Dlatego też podczas pracy stojącej należałoby co pewien czas wykonać parę ruchów, aby pobudzić krążenie krwi w żyłach. Przy pracy znów siedzącej powinno się co pewien czas robić przerwy kilkuminutowe, pozwalające na wykonanie paru ruchów w pozycji stojącej.

Osoby, mające skłonność do tworzenia się żylaków — powinny po pracy wypoczywać przez jakiś czas, leżąc, przyczem nogi dobrze jest oprzeć na jakiemś podwyższeniu, tak, aby uniesione były lekko ku górze.

Dalszym czynnikiem, sprzyjającym powstawaniu żylaków, są schorzenia i zapalenia ścian naczyń krwionośnych. Ściany te oraz pobliskie tkanki odżywiane są przez to coraz gorzej Na tle wadliwego odżywiania skóry tworzą się po jakimś czasie wrzody nad żylakami, które z czasem powiększają się i drążą głęboko — dziurawiąc niejednokrotnie nawet ściankę żyły i powodując krwotoki. Owrzodzenia te goją się niezmiernie trudno, odznaczając się ponadto skłonnością do recydywy.

W wypadkach występujących objawów rozszerzenia żył, należy zwracać się jak najwcześniej do lekarza, nie czekając, aż schorzenie rozwinie się i przybierze formy przykre i niebezpieczne. Owrzodzenia żylaków bowiem wymagają długotrwałego nieraz leczenia — specjalnie u osób starszych — i przerwania pracy zawodowej.

Życie towarzyskie i artystyczne

WSPANIAŁA IMPREZA TOWARZYSKA W WIELKOPOLSCE





Do nader, niestety rzadkich, widowisk historycznych należy piękna impreza urządzona ostatnio w Samostrzelu przy licznym współudziale ziemiaństwa wielkopolskiego p. t. „Staroszlachecki polonez". Zjawienie się wielu pań z towarzystwa o wybitnej urodzie, jak również przystojnych panów, bogactwo strojów odznaczających się rzadką cechą — autentycznością, a często historycznością, uczyniły z „Staroszlacheckiego poloneza", który był jednym z najpiękniejszych fragmentów „Igrzysk kulturalno-oświatowych" urządzonych w Nakle nad Notecią, imprezę naprawdę godną widzenia. Na naszem zdjęciu (po lewej) widzimy na tle kolumn pałacu w Samostrzelu hr. Irenę Bnińską jako królowę Marję Leszczyńską w krynolinie ze zbiorów rodzinnych. Na drugiem zdjęciu widoczni są od prawej: hr. Mańkowska z Winnogóry w wspaniałej złotobiałej tualecie, noszonej przez generałową Dąbrowską w dniu koronacji Napoleona I, hr. Zygmunt Mielżyński-Kurnatowski w mundurze generalskim, który należał ongiś do gen. Henryka Dąbrowskiego, p. Aleksandra Unrużanka w sukni empire, p. Maciej Kurnatowski z Gościeszyna w kontuszu, hr. Teresa Bnińska w sukni z XVIII stulecia, pochodzącej ze zbiorów rodzinnych, p. Franciszek Koczorowski z Witosławia w ułańskim mundurze swego pradziada, hr. Ponińska w stylowej sukni empire, szytej przed 130 laty dla kasztelanowej Bnińskiej, hr. Mańkowski z Winnogóry w kontuszu i hr. Irena Bnińska z Samostrzela.

BALET KAZIMIERZA OSTROWSKIEGO ZAGRANICĄ



Znany z walorów artystycznych i bogatego repertuaru zespół baletowy Kazimierza Ostrowskiego, bawi obecnie na tournée po Rumunji, skąd wkrótce wyruszy do Grecji. Oto „Wesele krakowskie" w wykonaniu baletu przy udziale K. Ostrowskiego (po lewej), cieszące się narówni z innymi tańcami zespołu, zasłużonym sukcesem zagranicą.

ŚLUB HRABIEGO COVADONGA



Najstarszy syn króla Alfonsa XIII, b. infant Alfons, obecnie hr. Covadonga, ożenił się podczas swego pobytu na Kubie po raz wtóry z uroczą senioritą Martą Rocafort Altuzerra Vededo. Na naszem zdjęciu młoda para podczas przyjęcia u przyjaciela hrabiego, Don Manuela Zamora.

Fot. Wide World — Londyn.

DANCING

pod gwiaździstem niebem

Prawdziwa elegancja polega na tem, aby zawsze i wszędzie strojem swym i wyglądem harmonizować z otoczeniem. Letnie dancingi, urządzane przeważnie pod gołem niebem lub na tarasach hotelowych, wymagają zupełnie odmiennego typu tualet, niż wieczory zimowe w zamkniętych salach nocnego lokalu, czy prywatnego salonu.

W lecie tańczymy na powietrzu; rytm naszych kroków podkreśla delikatny powiew wieczornego wietrzyka. Niech suknie nasze będą lekkie i powiewne, aby ten pachnący nocą lipcową wietrzyk mógł igrać niemi swobodnie. Za tło służy granatowe niebo, usiane złotemi gwiazdami, niby drogocenny brokat. Niech na tem przepysznem tle przyrody tualety nasze odcinają się jasnemi, pastelowemi barwami, które z głębokim szafirem nieba najpiękniej harmonizują. Unikajmy przeładowanych ozdób i szychu, który w tem otoczeniu daje efekty sztuczne i fałszywe.

Za dekorację letniego dancingu służą drzewa, rysujące się ażurową koronką gałęzi i liści na ciemnem tle nocy i kwiaty o barwach i ściszonych i stonowanych w świetle lamp i lampionów. Ulubionym i najstosowniejszym matrjałem na letnie tualety do tańca są delikatne koronki i gazy, malowane w duże różnobarwne kwiaty, jedwabie o wzorach drobnych listków i gałązek, lub pastelowe organdi i tiule, z których lekkie i powiewne suknie upodabniają się do najpiękniejszych kwiatów.



Suknia „princesse" z matowej krepy z pękiem róż przy wycięciu. Piękny płaszcz wieczorowy z tego samego materjału dopełnia efektowną tualetę.





Na lewo: Suknia „princesse" z białej broszowanej krepy. Krzyżujące się na plecach szelki naszyte są drobnemi czarnemi perełkami.

Trzeba też pamiętać o właściwej gradacji letnich wieczorowych tualet. Na wieczorny dancing w skromnej miejscowości nadmorskiej lub kuracyjnej najstosowniejsze są suknie z organdi lub haftowanego batystu, z jedwabnej piki, shantungu lub nawet kretonu. Strojne tualety z broszkowanej gazy czy tiulu odpowiadają bardziej luksusowemu otoczeniu i zachowamy je raczej na dancing na okręcie w czasie wakacyjnej wycieczki morskiej, na wieczory spędzane w wytwornej paryskiej „boite" na terenie wystawy lub na „soirée de gała" w którymś z luksusowych hoteli w Nicei czy Monte Carlo.

Jeśli chodzi o kolory, niemal wszystkie są modne, lecz pamiętajmy, że dobierać je musimy nietylko do właściwego nam kolorytu włosów i oczu, lecz i do letniej tonacji naszej cery, opalonej na złotawy bronz. W tym wypadku najszczęśliwszy efekt daje kolor biały, wszystkie odcienie jasno żółte i cytrynowe, oraz — głównie dla brunetek — żywe kolory cynobrowo-czerwone i soczysto zielone. Przy opalonej cerze fatalnie zaś wypadają barwy liljowe i zimne odcienie niebieskie, rzucają bowiem refleksy żółtawo-szare.

Opalając się na plaży czy w górach, pamiętać też należy aby plecy, ramiona i szyję opalić równo i jednostajnie, nic bowiem fatalniej nie wygląda, jak „łaciate", odsłonięte w dekoltowanej sukni, karnacje, częściowo opalone na bronz częściowo białe, nietknięte słońcem.

Tegoroczna moda faworyzuje specjalnie szerokie, marszczone suknie wieczorowe z lekkich materjałów, przypominające stylem epokę romantyczną, epokę straussowskich walców. Przybrania z falban, girland kwiatów obrzeżających dół szerokiej spódnicy, z drobno plisowanych lub marszczonych

riuszek tiulowych i pastelowych wstążek — jeszcze bardziej podkreślają stylowość tych sukien. Do tego typu tualety najodpowiedniejsze są kunsztowne fryzury z loków, przybrane pękami kwiatów lub girlandą z drobnych listków.

Dla kobiet, które z powodu wieku lub typu swej urody nie lubią tej „stylowej" linji, pozostają tualety kroju obcisłych „princesse", modelujące dokładnie figurę, a rozszerzające się dopiero dołem lub przechodzące w tren. O ile przepisana długość sukien stylowych sięga w tym roku zaledwie do kostek o tyle suknie „princesse" muszą spływać do ziemi, tak, że ledwie odsłaniają czubek pantofelków.

Najważniejszą niemal, a w każdym razie niezbędną częścią składową letniej tualety jest w tym roku towarzyszące jej okrycie. Niema ono nic wspólnego z ciepłem, gdyż zrobione jest przeważnie z tiulu, gazy lub koronki. Najmodniejsze są długie płaszcze czarne lub innej ciemnej barwy, wykonane z przejrzystego materjału, spod którego subtelnie prześwieca pastelowy lub intensywny, jasny kolor sukni. Prześlicznie wygląda czarny tiul na dużych barwnych wzorach kwiatowych, gdyż tonuje i ścisza nieco ich żywy koloryt i śmiały rysunek. Moda tych płaszczy pozwoli nam zastosować na letnie wieczory zeszłoroczne, niezbyt już modne suknie, które użyjemy



Powyżej: Wieczorowa tualeta z tafty w pęki kwiatów „chinées" podkreśla urodę artystki filmowej Rochelle Hudson.



jako spodnie „fourreau", pokryte całkowicie tiulem lub koronką. Efekt będzie zupełnie „nowy".

Oprócz długich przejrzystych płaszczy, modne są również krótkie żakieciki lub bolerka z tego samego, lub też zupełnie odmiennego materjału. Jedna z wielkich firm paryskich skomponowała dla księżnej Windsoru prześliczną, pełną wytwornej prostoty wieczorową całość, złożoną z gładkiej długiej sukni z czarnego crêpe romain, przepasanej szarfą z jedwabiu białego w czarne groszki i z krótkiego żakiecika z tegoż materjału. Inna kreacja z wyprawy b. pani Simpson, to tualeta z białej matowej krepy, z szarfą i żakiecikem z paljetów, tworzących wzór szerokich pasów czerwonych i i złotych.



Na lewo: Oryginalna tualeta z srebrzystej brokatowej tafty w deseń kwiatowy. Charakterystycznem jest dla obecnej mody podwyższenie linji stanu.

Na wieczory nieco chłodniejsze, których nie brak chociażby nad Bałtykiem, praktyczne i stosowne są komplety t. zw. smokingowe z miękkiej białej wełny, złożone z gładkiej sukni i bolerka z długiemi rękawami o kroju, przypominającym liberję hotelowych boy'ów. Długa szarfa z ciężkiej krepy pomarańczowej ożywia tę pełną smaku całość.

Do wieczorowej tualety nosi się lekkie pantofelki lub ażurowe sandałki z jedwabiu lub cieniutkiej skórki na wysokim obcasie. Moda sandałów bez obcasów przeżyła się już zupełnie, Podobnie zwyczaj tańczenia bez pończoch należy już do przeszłości. Nosi się zato pończochy o tak pajęczej cienkości i przejrzystości, że noga wygląda rzeczywiście, jak bosa. Jedna z fabryk niemieckich lansuje wieczorowe pończochy cieniowane w dwóch kolorach, z tyłu ciemne, a z przodu przechodzące w odcień zupełnie jasny: np. czarne z cielistym, granatowe z błękitnym itd.

A rękawiczki? Owszem, nosi się je w tym roku, ale z tiulu lub delikatnej siatki, czasem gładkie i sięgające do łokcia, czasem zupełnie krótkie, ozdobione girlandą kwiatów. Nie są one jednak konieczne.

Moda w tym roku, jak widzimy, nie jest tyranem. **Lady Like.**



Wieczorowe okrycie w postaci długiej peleryny z powiewnej gazy nadaje postaci Barbary Read powłóczystą linię.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

PRZYSTAWKI Z JAJ. — 1. **JAJA PO RUSKU.** Kilka twardo ugotowanych jaj natłukuje się, następnie wkłada do zimnej, osolonej wody na pół godziny, poczem się je obłupuje i przekrawa wzdłuż. Z surowego żółtka, 4 łyżek oliwy dolewanej kroplami, soli i octu, uciera się gęsty majonez. Układa się połówki jaj na szklanej salaterce i przybiera każdą z nich troszką majonezu, paseczkiem sardelki, kawioru lub kaparami, pozatem układa się pomiędzy jajami kwaśne ogórki, zgrabnie wykrojone, rzodkiewki i listki sałaty.

JAJA NA SPOSÓB ANGIELSKI. Średniej wielkości cebulę hiszpańską kraje się w talarki i smaży w maśle na złoty kolor, potem dodaje się na końcu noża proszku Curry (mieszanina ostrych korzeni), zaprusza łyżeczką mąki, podlewa 1/4 litra rosołu lub buljonu, rozpuszczonego w wodzie, zagotowuje, dodaje trzy łyżki gęstej, kwaśnej śmietany, nie gotując więcej. Ułożone na salaterce połówki twardych jaj polewa się wyżej podanym gorącym sosem nieprzecieranym i szybko podaje.

JAJA Z KIEŁBASKAMI. Małe, krótkie parówki, zwane sosikami, przekrawa się wzdłuż i układa na ogniotrwałej miseczce, natartej masłem. (Można też do tego celu użyć małych jednoosobowych patelek aluminjowych). Na ułożone kiełbaski wybija się ostrożnie jaja tak, aby się żółtka nie rozpłynęły, popruszа solą i białym pieprzem wstawia do gorącego piecyka, aby się białka ścięły. Żółtka powinny zostać płynne. Przed podaniem pokryć można potrawę gęstem purée pomidorowem. Zamiast kiełbasek użyć można grubszych płatków szynki.

ZUPA Z WŁOSKIEJ KAPUSTY. Małą główkę włoskiej kapusty kraje się drobno, odrzucając wszystkie grubsze części tak, aby zostały cieńkie listki. Sparza się je następnie wrzącą wodą i obsusza na sicie.

Pół szklanki ryżu wyciera się w serwetce, nie płucząc go i praży następnie na łyżce masła, aż nabierze złotawego koloru, wtedy dorzuca się obsuszoną kapustę, zalewa szkanką rosołu, sporządzonego z kości i jarzyn i dusi pod pokrywą, aż wszystko zgęstnieje, poczem dolewa się litr rosołu i gotuje powoli na kraju blachy. Do zupy podaje się osobno dla amatorów tarty parmezan.

RAGOUT Z KALAFJORA I MÓŻDŻKU. Sparzony wrzątkiem móżdżek cielęcy, obiera się z błon i żyłek, potem gotuje się go w troszce wody bez soli przez 20 minut. W międzyczasie sporządza się beszamel z 3 dkg mąki, usmażonej z 5 dkg masła i zalanej szklanką mleka. Beszamel należy pilnie mieszać, aby sos był zupełnie gładki. Ugotowany osobno w słonej wodzie ładny biały kalafjor rozbiera się na pojedyncze różyczki, wspomniany poprzednio móżdżek kraje się w kostkę i miesza jedno i drugie z beszamelem; wkońcu zaciąga się całą potrawę żółtkiem, rozkłuconem w paru łyżkach mleka. W razie gdyby sos był za gęsty, rozprowadzić go należy wodą z pod kalafjora.

SMAŻONE NÓŻKI CIELĘCE A LA GOURMET. Ugotowane w słonej wodzie z jarzynami nóżki cielęce i wieprzowe obiera się z kości, kraje w kawałki i miesza z krajanemi korniszonami, duszonemi pieczarkami, siekaną pietruszką, kaparkami, troszką gałki muszkatułowej, solą i pieprzem. Wkońcu dodaje się łyżkę francuskiej musztardy i wymieszawszy dokładnie wciska się całą masę do formy, natartej oliwą, przykłada się ciężarkiem i zastudza. Wyrzucone na deskę kraje się w kawałki na palec grube, panieruje w mące, jaju i bułeczce i osmaża szybko na maśle. Podaje się przybrane listkami sałaty i pietruszki z ostrą sałatką ziemniaczaną.

BUDYŃ KARMELOWY sporządzać się musi dzień przed użyciem albo rano na wieczór. 10 dkg cukru i łyżeczkę masła smaży się na jasno bronzowy kolor, potem dodaje się 3 łyżki gorącej wody i rozgotowuje, mieszając na ogniu; do tego syropu dodaje się pół litra gorącego mleka i zagotowuje. 4 dkg mondaminu lub innej mączki budyniowej rozrabia się z troszką zimnego mleka, pozostawionego z potrzebnej do tej leguminy całej ilości półlitrowej, wlewa do gotującego się płynu, mieszając pilnie, aby się nie skluszczyło. Dobrze zagęszczoną masę wylewa się do filiżanek, wypłukanych zimną wodą i zastudza. Na drugi dzień wyrzuca się pojedyncze porcje na miseczki, przybiera surowemi lub smażonemi owocami i bitą śmietaną.

KONSERWA Z ZIELONEGO GROSZKU. Do konserwowania nadaje się jedynie groszek świeżo rwany i wyłuskany, z starszego odleżałego, konserwa sfermentuje. Groszek przebrany rzuca się na wrzącą wodę i gotuje przez 8 minut, potem wysypuje się go na sito i przelewa zimną, przegotowaną poprzednio wodą. Osączonym groszkem napełnia się małe porcjowe słoiki, zalewa przegotowaną z troszką cukru wodą nieosoloną, owiązuje starannie i gotuje przez godzinę przy 100°. Po tygodniu powtarza się sterylizację, lecz już tylko przez pół godziny.

ICE CREM. 6 żółtek i 12 dkg cukru oraz winny kieliszek rumu, ubić na parze na gęsty krem i zmieszać na gorąco z tęgą pianą z 1 białka. Wysokie kieliszki szampanowe napełnia się do 3/4 wysokości kremem, resztę z czubkiem bitą śmietanką. Sc. Ko.

NOWOŚCI
GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Mając obecnie wiele różnorakich świeżych owoców do rozporządzenia, można je użyć do smacznej boli, która stanowić będzie zakończenie wystawniejszej kolacji. Obok reprodukujemy piękny serwis, nadający się do podania boli, a robiący estetyczne i miłe wrażenie.



7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 31 — **Lipiec** — 31 dni

NIEDZIELA **25** Jakóba, Krzyszt.	Karteszal malinowy. Jaja na sposób angielski. Gęś pieczona z tarkonją i mizerją. Budyń karmelowy. Kolacja: Zimny półmisek /mięsa, sałatki/.
PONIEDZ. **26** Anny Matki	Zupa z włoskiej kapusty. Jaja po rusku. Rulada cielęca z kiszonemi ogórkami i marchewką. Kompot mieszany. Kolacja: Omlety z grzybkami.
WTOREK **27** Natalji, Pantel	Barszcz czysty mrożony w filiżankach. Nóżki cielęce à la gourmet z sałatą. Zraziki à la Nelson. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Jaja z kiełbaskami zapiekane.
ŚRODA **28** Innocentego	Zupa borówczanka z grzankami. Ragoût z móżdżku i kalafiora. Kotlety wieprzowe z kapustą kiszoną na prędce. Ciastka francuskie z pianką malinową. Kolacja: Ziemniaczki przysmażane z domowym kefirem.
CZWARTEK **29** Marty, Flory	Zupa jarzynowa purée z płatkami. Bukiet jarzynowy. Wątróbka cielęca w sosie śmietanowym z kluseczkami. Sałatka owocowa z keksami. Kolacja: Jaja w pomidorach.
PIĄTEK **30** Abdona i Senny	Chłodnik ogórkowy. Rizotto z groszkiem i kalafiorem. Białe ryby smażone z ziemniaczkami. Knedelki z parzonego ciasta z owocami. Kolacja: Kanapki jarskie.
SOBOTA **31** Ignacego Lojoli	Rosół z makaronem. Sztuka mięsa z sosem buraczkowym. Młoda kaczka z duszoną kapustą. Kompot. Kolacja: Jaja w szklance lub parówki w zimnym sosie musztardowym.

HOCKI-KLOCKI

ŚWIETNA OKAZJA W OKRESIE WYCIECZEK MŁODZIEŻY.



— O ile panu zależy na dobrej trójce do bridża, gotowi jesteśmy z panem pojechać! Rys. Charlie.

HUMOR ZAGRANICZNY

DOMYŚLNY



— Nie, wcale z konia nie spadłem. Ale dlaczego pan się pyta? („Ric et Rac")

W HOTELU DLA GANGSTERÓW



Służący do gościa: — Na nocnym stoliku znajdzie pan rewolwer: jeden strzał na służącego, dwa na pokojówkę, trzy na portjera! („Ric et Rac").

WZOROWA OBSŁUGA.



— Poproszę o środek na porost włosów.
— Bardzo proszę! A w jakim kolorze pan dobrodziej życzy mieć włosy? Rys. Charlie.

Dokończenie ze str. 2.

— Może jeża?

— Jeża?... Raz z bratem w Kiwercach przynieśliśmy z lasu jeża... Proszę o jeża.

— Jeża?

— Jeża. Będę mieć?

— Tak.

Słowo się rzekło, nie trudne do spełnienia wobec tego, że w obrębie miasta był las, Pohulanka, a w okolicy wsie z lasami, Lesienice i Brzuchowice.

Co to była za radość i zdumienie!

Kolczaste, komiczne stworzonko stało się przedmiotem najczulszej opieki i zachwytu.

— Jakiż on piękny i okropny. Podobny do gnomów na Notre-Dame!

Zapolska nie przestawała troszczyć się o tego swego domownika.

— Znów się schował!... Gdzie jeż? Mleka dla jeża! Posiekać mięso dla jeża!

Ulubieniec oswoił się i jadał z ręki.

— Jak mu będzie na imię? Trzeba go nazwać. Jak?

Nowy kłopot.

Poddawano imiona.

— Potwór? czupiradło?

— Nie... Musi się ładnie nazywać. Choć dziś rano był nie w humorze. Nastraszył się tak, jak Sachorowski (sekretarz Teatru Miejskiego), kiedy przyszłam po zaliczkę.

Skończyło się, że nim zdecydowano, jakie mu nadać imię — jeż uciekł.

Pani Gabrjela nie robiła z tego tragedji. Żałowała, ale krótko.

Powiedziała tonem lekko obrażonym.

— Szczęśliwej drogi!

Dokończenie ze str. 6

składają je tylko w piasku, bądź wśród suchych traw, ufne w życiodajne promienie ciepłego słońca, które spełniają za matkę obowiązek wygrzewania drobiazgu. Tak postępuje południowo-amerykańska dzika kura wielkonoga. Samiczki zbiorowo składają jaja do głębokiego, przez się wykopanego dołku, pokrywają liśćmi, z chwilą zaś wyklucia się małych powracają do gniazda, by już drobiazgiem się zaopiekować.

Nieco inaczej postępuje australski ptak bezskrzydły — kiwi. Podpatrzył widocznie zwyczaje składania jaj u żółwi, bo jajka swoje składa w dołku pełnym nawozu, ufając ciepłotwórczemu rozkładowi i chemicznej inkubacji.

Ale powróćmy do ptaków naszej ojczyzny. Bynajmniej nie jest przypadkowa czy obojętna sprawa koloru jajek i ubarwienie ich: deseń niekiedy bardzo pstrokaty spełnia nie inną rolę, jak tylko stonowania się z tłem i ochrony przed drapieżcą. Jajka ptaków, które dobrze zabezpieczają swoje gniazda, bądź składają jajka w dziuplach czy innych schronach są przeważnie białe, bądź słabo ubarwione, natomiast wszystkie jajka gniazd, o odkrytej powierzchni narażone na zapędy zbójeckie innych zwierząt, są z reguły stonowane barwą z otoczeniem tak, że nawet człowiekowi trudnoby je wypatrzeć.

FELIKS DANGEL.

Rozwiązanie z N-ru 29-go.

RYBY

Skowronek złowił tylko dwie ryby; towarzyszom swym powiedział, że cztery.

LICZBY KWADRATOWE.

Po dodaniu 125 do 100 i 164 otrzymuje się duże liczby kwadratowe 225 i 289, kwadraty 15 i 17.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

MNOŻENIE Z PAMIĘCI.

Oto próbka bystrości umysłu. Przy stole zabawiano się pamięciowemi łamigłówkami. Jedna z osób zaproponowała możliwie najszybciej przemnożyć 1x2x3x4x5x6x7x8x9x0. Ile czasu zajmie to czytelnikom?

SIEDEM PRZEKUPEK.

Siedem przekupek przybyło na targ, posiadając 20, 40, 60, 80, 100, 120 i 140 jabłek, które sprzedawały po tej samej cenie i każda zarobiła tyle samo pieniędzy. Po ile sprzedawały jabłka?

To warto poznać..

NA SCENIE.

W warszawskiej „Wielkiej Rewji“ odbyła się premjera nowego programu p. t. „100% humoru“. Pokaźną porcję wesołości. zaprawionej satyrą. wnosił przedewszystkiem p. Wsiewołod Orłow. Podobał się zwłaszcza monolog, parodjujący „salonowe“ zachowanie młodzieży współczesnej. Dużo komicznej werwy miał p. Ludwik Sempoliński. Z innych wykonawców należy wymienić lwowskich wesołków: Szczepka i Tońkę, nazwanych dowcipnie „gwoździem programu o dwóch łebkach“. W numerach tanecznych gorące oklaski zbierała Mila Kołpikówna i Eugenjusz Papliński. Na wyróżnienie zasłużyła także p. Basia Bitnerówna. przypominająca sposobem tańca Lodę Halamę. Zabawny monolog o prasie i radjo wygłosiła p. Chmurkowska.

* * *

W pierwszych dniach sierpnia w Teatrze Polskim wystąpi Marja Modzelewska w komedji Ruszkowskiego p. t. „**Jadzia wdowa**“. Obok niej zobaczymy: Kurnakowicza. Ziembickiego (zarazem reżysera sztuki).

Teatr Narodowy przygotowuje komedją Barriego p. t. „**Sługa Lordowskiej Mości**“, z Józefem Węgrzynem w roli, głównej.

Krakowski teatr im. Słowackiego zamknął tegoroczny sezon sztuką Shawa p. t. „**Profesja pani Warren**“.

NOWE KSIĄŻKI.

Na naszych półkach księgarskich ukazał się przekład powieści francuskiej autorki Ireny Niemirowskiej p. t. „**Karjera**“. Lekkiem piórem, krótkiemi rzutami, bez gadulstwa i przewlekłości kreśli autorka dzieje „karjery“ młodego Francuza. jednego z wielu tysięcy podobnych do niego młodzieńców. którzy ukończywszy studja widzą przed sobą wszędzie drzwi zamknięte. Jakby nie dość było tych kłopotów — przyłącza się jeszcze zawód miłosny: ukochana kobieta nie dotrzyma mu kroku; nie będzie chciała znosić niepewnych warunków materjalnych; ten cios spowoduje dziwną przemianę w uczuciach Lucjana: początkowo czuły i serdeczny stanie się bezwzględny i wyrachowany. Zdoła wprawdzie pozyskać jej zgodę na małżeństwo, ale jakaś struna przestanie w nim wibrować: skończy się wprost cynicznem odstąpieniem żony swemu szefowi. Bo Lucjan zrobi „karjerę“ — kosztem szlachetniejszych uczuć i przekonań.

Życie współczesne wymaga twardych łokci. sprytu i nieliczenia się z sentymentami. Kto nie chce utonąć — musi umieć zręcznie lawirować. Cnotliwość charakteru nie jest dzisiaj w cenie. Również nowoczesna panna — jest istotą, kierującą się impulsami, przecież nie do tego stopnia, żeby nie myśleć o zabezpieczeniu „pleców“. Autorka nie przybiera pozy moralistki, nie gromi ani nie grozi, powiedziałbym nawet, że z pewnem amatorstwem gromadzi „kwiatki“ z życia współczesnego. Stara się też uczynić swą powieść jaknajbardziej „atrakcyjną“, jaknajłatwiej strawną: prowadzi intrygę ścieżkami mocno „zakropionemi“ erotyką. I rzecz szczególna — wyraźnie przytem obciążyła konto Edyty. późniejszej żony Lucjana. — Jakże daleko jest pani Niemirowska od „feministycznych“ pretensyj i uroszczeń... A nie brak było okazji w „Karjerze“ do tego rodzaju akcentów. J. J.



Niedziela — dnia 25. VII.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja z obozu harcerskiego w Sierakowie.
10.30 Orkiestra Marka Webera i soliści (płyty).
12.03 „Wśród jezior i rzek: Poranek muzyczny“.
13.10 Koncert rozrywkowy.
14.10 „Wróg“ — opowiadanie B. Hertza dla dzieci.
15.00 Audycja dla wsi.
16.00 „Tańce“ — koncert,
16.30 Gra Edwin Fischer (płyty).
17.00 Słuchowisko „Koncert“.
18.00 Koncert rozrywkowy dla dzieci i młodzieży.
20.00 Letnie impresje (płyty).
21.00 „Dziwy w Kazanowie“ — komedja muzyczna.
22.00 Recital skrzypcowy Stefana Frenkla.
22.30 Pieśni Roberta Schumanna.

Poniedziałek — dnia 26. VII.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Muzyka (płyty).
12.40 „Od warsztatu do warsztatu“: „Polscy wikliniarze“.
16.00 Jak się oswaja dzikie zwierzęta — pogadanka.
16.15 Z mego ogródka — pieśni.
16.45 „Mistrz wszelkich tajemnic — Paracelsus“ — feljeton.
17.00 Koncert rozrywkowy.
18.05 Melodje z amerykańskich filmów rewjowych (płyty).
19.00 Audycja strzelecka.
20.00 Wiązanka melodyj Roberta Stolza.
21.45 Powieść mówiona: „Wakacje pani Wandy“.
22.00 Recital fortepianowy Stanisława Niedzielskiego.
22.55 Fragmenty ze suity „Piękne dziewczę z Perth“ (płyty).

Wtorek — dnia 27. VII.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Dęta orkiestra B. B. C. (płyty)
16.00 Zagadka geograficzna — dla dzieci starszych.
16.20 Piotr Czajkowski: Kwartet smyczkowy es-moll op. 30.
16.50 Straszny bór — feljeton.
17.05 Ze świata operetek. Koncert Orkiestry Wileńskiej.
18.15 Walce i polki Jana Straussa (płyty).
19.00 „Kawusia z kożuszkiem“ — skecz.
19.15 Recital śpiewaczy Sławy Orłowskiej-Czerwińskiej.
20.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R.
21.15 Powieść mówiona „Wakacje pani Wandy“.
22.00 Utwory skrzypc. Kamila Saint-Saens'a (płyty).

Środa — dnia 28. VII.

6.15 Audycja poranna.
12.15 Jak budować na wsi — pogadanka.
12.25 Orkiestra salonowa (z Lodzi).
16.00 „Z mojego warsztatu“ — szkic literacki W Rogowicza.
16.15 „Wspomnienie ze Szczypiorny“ — odczyt.
17.00 Koncert solistów.
17.50 „Buduję własny dom“ — Urządzenie wnętrza“ — pogadanka.
18.15 Muzyka lekka z udziałem Marty Eggerth (płyty).
19.00 Słynny dyrygenci — XV audycja (płyty).
20.00 „Za tą chatą co to Jana“ — letnia bajka.
21.00 Koncert chopinowski.
21.40 Powieść mówiona „Wakacje pani Wandy“.

Czwartek — dnia 29 VII.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Koncert Orkiestry Wojskowej.
16.00 „Turu-Kadu“ — opowiadanie K. Giżyckiego dla dzieci.
16.15 Pieśni ludowe śląskie.
16.40 „Na obozie“ — gawęda.
16.55 Symfonje Beethovena — III audycja (płyty).
18.15 Instrumenty orkiestrowe w roli solistów (płyty).
19.00 Powszechny Teatr Wyobraźni: „Stara Baśń“.
20.00 Koncert muzyki lekkiej i tanecznej.
21.15 Powieść mówiona: „Wakacje pani Wandy“.
22.00 Recital skrzypcowy Eug. Umińskiej.
22.30 Ludowe pieśni hiszpańskie.

Piątek — dnia 30. VII.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Orkiestra Klubu Mandolinistów „Sempre-Vivo“.
16.15 S. Karg-Elert: Aforyzmy o kobiecie — w wyk. na fortepian.
16.45 Nasi emigranci w drodze do Ameryki — reportaż.
17.00 Lekka muzyka kameral. (z Krakowa).
17.50 Z wabikiem na rogacza — pogadanka.
18.05 Pogadanka konkursowa.
18.10 Orkiestra Jacka Hyltona i Barbary Geczy (płyty).
10.05 Transmisja opery Wolfganga Mozarta „Czarodziejski flet“.
22.05 Powieść mówiona: „Wakacje pani Wandy“.
22.20 Muzyka taneczna (płyty).

Sobota — dn. 31. VII.

6.15 Audycja poranna.
12.25 Orkiestra pod dyr. A. Furmańskiego i Czeplarskiegi.
16.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci młodszych.
16.30 Fragmenty z operetek i najpiękniejsze walce J. Straussa.
17.10 Polskie pieśni i utwory fortepjanowe.
17.50 „Darabami po Czeremoszu“ — pogadanka.
18.15 Zapomniane pieśni chóru Eryana (płyty).
19.00 Orkiestra Marynarki Wojennej.
20.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
21.05 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Festivale salzburskie dla polskich radjosłuchaczy.

Skromna jest szata zewnętrzna prospektu salzburskich festivali, bez propagandowych przymiotników, bez superlatywów. Wystarczy natomiast spojrzeć na pierwszą stronicę, zawierającą suche zestawienie programów, by przekonać się, że festival salzburski przynosi kwintesencję wielowiekowej kultury europejskiej, najwspanialsze owoce ducha i geniuszu ludzkiego. Pomiędzy wykonawcami figuruje m. in. świetna orkiestra Wiedeńskiej Filharmonji, jako dyrygenci: największy z współczesnych Arturo Toscanini, jedyny w swoim rodzaju Bruno Walter, świetny Hans Knappertsbusch i inni wielkiej miary artyści: jako reżyserzy: słynny Maks Reinhardt, reżyser opery wiedeńskiej Lothar Wallerstein i t. d. Sławne siły śpiewacze wielkich oper światowych przyrzekły swój udział.

W repertuarze przygotowanym na festivale widzimy nieśmiertelne la wielkich mistrzów, utwory symfoniczne i sceniczne Wagnera, Straussa, Mozarta, Beethovena. Verdiego itp.

Polskie Radjo, pragnąc umożliwić swym słuchaczom branie udziału w



Fragment hallu w salzburskim „Festspielhaus“, gdzie odbywają się słynne festivale.

tym największem święcie kulturalnej Europy, transmituje z Salzburga trzy koncerty i jedną operę: dnia 30 o godz. 19.05 Mozarta „Czarodziejski Flet“ pod dyr. Toscaniniego, dnia 8. VIII koncert utworów Mozarta pod dyr. wspaniałego intrepretatora mozartowskich Bruno Waltera, 23. VIII „Serenady“ orkiestrowe pod dyr. B. Paumgartnera i 29. VIII koncert utworów Mozarta i Brahmsa pod dyr. Toscanniego.

Pierwszym więc wieczorem, którym rozpocznie Polskie Radjo transmisje — będzie opera Mozarta „Czarodziejski Flet“ (dnia 30 VII o godz. 19.05). Salzburg, który w kongenialny sposób łączy starą tradycję z dobą dzisiejszą, piękno starej stylowej architektury z cudowną przyrodą, świetną polityczną przeszłość i bogactwo z idylliczną prostotą i bliskością natury, jest miejscem predystynowanem dla tego rodzaju uroczystości. Wydaje się, że nie jest to bynajmniej przypadkiem, że tu a nie gdzieindziej przyszedł na świat Mozart, wydaje się, że duch jego muzyki unosi się w atmosferze tego podalpejskiego miasta austrjackiego. Nic więc dziwnego, że na festivale salzburskie zjeżdżają turyści dosłownie z całego świata, a druga połowa świata przysłuchuje się im przy aparacie radjowym!

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.